

Poul Anderson

Statek

(Star Ship)

Planet Stories, Fall 1950

Thumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Oryginał tekstu zaczerpnięto z Internet Archive.

© Public Domain

This text is translation of the novelette "Star Ship" by Poul Anderson, included in magazine "Planet Stories", Volume 4 Number 8; Fall 1950, published in Internet Archives by Gerard Arthus, 2010-01-06, url:

http://www.archive.org/details/Planet_Stories_Volume_4_Number_8_, under Creative Commons license: Public Domain,

<http://creativecommons.org/licenses/publicdomain/>

According to the included copyright notice:

"Planet Stories Volume 4, Number 8. Published by Love Romances Publishing Company, Incorporated; 1658 Summer Street, Stamford, Connecticut. Dimensions are 6 1/2" width by 9 1/2" Height and 131grams, 115 pages. Copyright was issued in 1950, but no renewal was recorded, this work is Public Domain under Rule 6 of the Copyright Statutes of the United States. Etext created by Gerard Arthus."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Najdziwniejsi rozbitkowie w historii kosmosu! Ziemianie pozostawili bez załogi swój wielki statek międzygalaktyczny na niskiej orbicie wokół Khazak, i wszyscy wylądowali w szalupie, aby przebadać tę dziwną planetę, pozostającą w epoce żelaza. I szalupa rozbiła się!

I

Razem z zachodem słońca, nadszedł deszcz. Kiedy Dougald Anson wprowadził swoją łódź do portu w Krakenau, wszędzie dookoła panowała tylko ogromna, mokra ciemność.

Zaklął w soczystej mieszance Krakenau, Volgazani i pół tuzina innych języków, włączając kilka słów z Ziemskiego, języka ludzi z kosmosu, a potem ściągnął żagiel. Płótno było ciężkie i sztywne od padającego deszczu. Wszystko co mógł z nim zrobić, to jedynie owinać je wokół bomu. Następnie złapał za długie, drewniane wiosło i zaczął kierować swoją łódź w stronę nabrzeża.

Przez deszcz przebiło się niebieskawe światło błyskawicy i w jednym wielkim, intensywnym rozbłysku, zobaczył wielką zatokę, wypełnioną stojącymi na kotwicy galerami i niewielkimi szkunerami floty rybackiej. Zaraz za przystaniami, ziemia wznosiła się stromo do góry, i z miejsca w którym się znajdował, dostrzegał również ciemną masę domów rozciągających się aż po cytadelę na wierzchołku wzgórza. Ciemną -- kompletnie ciemną! W mroku nie było widać nawet jednego światełka.

Co się, w imię Shantuzik, tutaj działo? Nabrzeże, przynajmniej ono, powinno tętnić życiem, powinno być pełne pochodni, muzyki i swawolnej zabawy. A wzdłuż najważniejszych alei, prowadzących w górę, do zamku, powinny migotać światła nowo zainstalowanych latarni ulicznych. Zamiast tego, Krakenau leżało jakby przyćmione w ciemnościach i...

Spojrzał groźnie i rytmicznymi pociągnięciami długiego wiosła, popychał swoją lekką łódź w stronę brzegu. Wzdłuż kręgosłupa pełzały mu niespokojne ciarki. Coś było nie w porządku. Nie było go przecież tylko kilka dni. Co się tu wydarzyło, w międzyczasie?

Kiedy dotarł do mola, pracował szybko, z niespotykanym u niego spokojem. Być może był jedynie przewrażliwiony. Może to tylko umarł król, albo pojawiły się jakieś inne powody takiego powściągliwego zachowania? Ale człowiek nie spędził wielu lat na walkach z piratami z wysp zewnętrznych i sąsiednich królestw otaczających Krakenau, nie ucząc się ostrożności.

Wpłynął łodzią pod zadaszenie utworzone przez dzioby statków, które stanowiło dla niej jedyną osłonę, i wyciągnął ze schowka ręcznik, wycierając nim do sucha mokre od deszczu ciało. Na łodzi miał na sobie

tylko obdarte portki i woda spływała mu po żebrach i bokach. Potem narzucił na siebie tunikę, a na nią pancerz z metalowych kółek. Miecz o płaskiej klindze przypasany do boku, i hełm założony na długie, żółte włosy, skompletowały jego ekwipunek. Teraz poczuł się bezpiecznie i wskoczył do góry, na molo.

Przez chwilę stał, zastanawiając się. Mocny deszcz spływał po jego skórzanej pelerynie, zamazywał widoczność już w odległości zaledwie kilku metrów, a ciemność rozświetlały jedynie przerywane rozbłyski błyskawic. Dokąd pójść? Dom jego ojca był logicznym miejscem, może. Ale do domostwa Masefieldów było stąd nieco bliżej, no i Ellen...

Uśmiechnął się do siebie i ruszył długim krokiem. Masefield, niech będzie.

Ulica w którą skręcił, rozpościerała się przed nim, jak tunel nocy. Wysokie domy o stromych dachach, stojące po obu jej stronach, były zupełnie ciemne, a fluorokule nie były zapalone. W blasku błyskawicy, mokre kocie łby rozjarzyły się odbitym światłem. Poza tym, był tam tylko deszcz i ciemność.

Doszedł do jednej z krętych alejek i spojrzał w nią, z rutynowej ostrożności. W następnej chwili rzucił się na ziemię, a miejsce w którym przed chwilą znajdował się jego brzuch, przeszył oszczep.

Przetoczył się dookoła i zerwał się na nogi, nisko przysiadając i wyciągając ze świstem miecz z pochwy. Z alei wyskoczyło czterech Khazaki i rzuciło się na niego.

Dougald Anson chrząknął i cofnął się, opierając się plecami o ścianę. Tubylcy byli uzbrojeni i mieli na sobie pancerze. Byli to wojownicy i mieli tę nieludzką szybkość, właściwą ich gatunkowi. No i było ich czterech... !

Prowadzący napastnik, odbił jego miecz ze szczękiem stali. Dougald pozwolił mu wyprowadzić pchnięcie, przyjął cios na opancerzone żebra i ciął własną bronią w morderczy sposób. Szybciej niż człowiek zdołałby nawet pomyśleć Khazaki uniósł swoją klingę do góry, aby sparować szerokie uderzenie. Ale nie był tak do końca wystarczająco szybki. Pochwycił cięcie pod niewłaściwym kątem, i zwykła siła Ziemianina wybiła mu miecz z ręki, posyłając go w powietrze. Ułamek sekundy później sama ręka powędrowała jego śladem, i Khazaki wrzasnął, cofnął się, a następnie upadł.

Pozostali dopadli już Ansona. Przez kilka chwil rozlegały się tylko odgłosy parad i uderzeń, trzech na jednego. Nie miał czasu na to aby poczuć strach, albo zauważyć rozcięcia na rękach i nogach. Jakaś odległa część jego mózgu, mówiła mu ponuro: *To już koniec. Jesteś skończony. Żaden samotny Earthling nigdy nie wytrzymał długo przeciwko więcej niż dwóm Khazakim.* Ale ledwie to zauważał.

Nagle przed nim stało już tylko dwóch. Rzucił się do przodu, odrywając się od ściany, jego miecz uderzył z góry, z całą siłą, jaką było w stanie zapewnić mu jego wielkie ciało. Wojownik próbował uskoczyć przed ciosem, ale za późno. Potężne uderzenie zbiło parade Khazackiego do dołu i ze świstem wbiło się w kości jego czaszki.

Wtedy umarł ostatni z napastników. Przewrócił się nagle obok tego drugiego. Obaj mieli między żebrami upierzone trzonki strzał.

Łucznik zbliżył się przez deszcz, nisko pochylony. Przystanął, aby w typowy dla Khazaki sposób, podciąć gardło rannej istocie, a następnie podszedł do miejsca, w którym stał zasapany Dougald Anson.

Człowiek wyteżył wzrok, usiłując przeniknąć deszczowy mrok. Na niebie zamigotała błyskawica i wtedy rozpoznał przybysza.

– Janazik!

– I Anson – potwierdził Khazaki. Jego ostre białe zęby zabłysły na tle ocienionej twarzy. – Zdaje się, że miałeś gorące przyjęcie.

– Za gorące. Ale... dzięki! – Anson pochylił się nad najbliższym z ciał, i dopiero teraz zrozumienie przeszło jego mózg. Wszyscy oni mieli na sobie ciemne pancerze o jednakowym wzorze, spiczaste hełmy i czerwone płaszcze. Bogowie Gorzak! Oni wszyscy byli królewskimi gwardzistami!

Uniósł głowę, spoglądając na ciemną postać Janazika, a na jego szczupłej twarzy nagle pojawiło się napięcie.

– Co to ma znaczyć? – powoli go zapytał. Myślałem, że to może jacyś bandyci, albo żołnierze jakiegoś wrogiego państwa którym udało dostać się do miasta...

– To byłoby trudne do zrobienia, teraz kiedy mamy karabiny – odparł Janazik. – Nie ci wrogowie wyrośli w obrębie naszych własnych murów. Jeżeli bliżej im się przyjrzysz, to zauważysz, że wszyscy mają na rękach pancerze w złotym kolorze.

– Księżę Volakech... ale on...

– W tej sprawie chodzi o dużo więcej, niż o Volakecha, i dużo więcej niż o kwestię dziedzictwa tronu – stwierdził Janazik. Potem niespodziewanie dodał ponaglająco: – Ale nie możemy tak sobie tutaj stać i rozmawiać. Oni patrolują ulice. Przebywanie poza domem jest niebezpieczne. Chodźmy stąd, znajdziemy jakieś schronienie.

– Co się stało? – Anson wstał, górując ponad tubylcem o dobre ćwierć metra, a jego głos nagle zrobił się szorstki. – Co się tutaj dzieje? Gdzie są wszyscy?

– Jest niedobrze. Teraz jednak chodźmy.

– Ellen? Masefield Ellen?

– Nie wiem. Nikt nie wie. Ale teraz już chodźmy!

Zniknęli w głębi alejki. W tych ciemnościach Anson był zupełnie ślepy i szczupła, sześciopalczysta dłoń Janazika złapała go za ramię, aby nim pokierować. Khazaki byli mniejsi niż Ziemianie i brakowało im tej prawdziwej siły i wytrwałości, jaką dała ludziom wyższa grawitacja Ziemi. Potrafili jednak poruszać się szybko jak wiatr, mieli naturalny wdzięk i poczucie równowagi, przy którym ludzie wydawali się być niezdarnymi słoniami, no i widzieli w ciemnościach.

Umysł Ansona Dougalda, zawirował w rozpaczliwych rozważaniach. Jeżeli Volakech zebrał po swojej stronie dostatecznie dużą liczbę gwardzistów i żołnierzy, aby dokonać rewolucji pałacowej, było źle. Ale sprawy wyglądały jeszcze gorzej. Dlaczego zwolennicy Volakecha atakowali ludzi? Dlaczego Janazik musi przekradać się z nim do

bezpiecznej kryjówki? No i przede wszystkim, w jaki sposób rewolucjoniści mogli przejąć kontrolę, walcząc z nowym uzbrojeniem króla Aligana? Jakie siły posiadali oni obecnie?

Co się stało z ludzką społecznością w Krakenau? Co się dzieje z jego ojcem, braćmi, siostrami, przyjaciółmi? Co się dzieje z Masefield Ellen? Co z Ellen?

W pewnej chwili uświadomił sobie, że Janazik się zatrzymał. Byli na jakimś niezbyt miło pachnącym, zaśmieconym odpadkami podwórzu, otoczonym przez walące się budynki. Było ono równie ciemne i ciche, jak reszta miasta. Anson zdał sobie sprawę, że nie tylko okolice portu, ale całe Krakenau było zupełnie ciemne. W takich niebezpiecznych czasach stary system klanowy Khazaki, jak zwykle zdawał egzamin. Rodziny zabarykadowały się w swoich domach, przygotowane do walki ze wszystkimi przybyszami, dopóki nie minie niebezpieczeństwo. Miasto z pewnością nie spało. Wszędzie dookoła mieszkańcy przyczaili się, wstrzymując oddech z napięcia, i nigdzie nie pojawiło się żadne światło, nie poruszyła się żadna ręka, nie odezwał się żaden głos. Wszyscy czekali.

Janazik przykucnął przy jednym ze starych budynków i podniósł pokrywę wejścia do kanału. Ze środka rozbłysło przytłumione światło. Zeskoczył lekko na dół, a Anson za nim, zamykając za sobą właz.

W wilgotnym mroku paliła się tylko jedna kopcząca lampa. W całym węźle kanalizacyjnym zalegały gęste i rozległe cienie. Czerwonawy płomyk wyciągnął z mroku twarze, zimne błyski stali, a sam zagubił się w ciemności.

Oczy Ansona przebiegły po twarzach. Pół tuzina ludzi: Chiang Chung-Chen, Du-Frere Marie, Gonzales Alonzo i jego żona Nora, która była siostrą Ansona, Dougald Joan, Masefield Philip. Ani śladu Ellen.

– Anse! Anse!

Głosy z ledwie oświetlonej jamy niemal zaszlochały. Joan i Nora skoczyły do przodu, jakby chciały dotknąć swojego brata, aby się upewnić, że jest żywym człowiekiem, a nie nocną marą, która wychynęła z ciemności. Janazik jednak cofnął je machnięciem miecza.

– Żadnych hałasów! – wysyczał gwałtowny głos Khazakiego. – Żadnych hałasów, na wszystkie trzynaście piekieł! *Burats Volakecha* krążą po całym mieście. Jeżeli znajdzie nas patrol...

– Ellen! – Niebieskie oczy Ansona wyszukały Philipa Masefielda, kucającego koło lampy. – Gdzie jest twoja siostra Phil?

– Nie wiem – wyszeptał chłopiec. – Wydaje się, że tylko nam udało się uciec. Może złapali ją oni... Nie wiem...

– Ojciec. – Głos Jane załamał się w suchym szlochu. – Anse, Ojciec i Jamie nie żyją. Rebelianci ich zabili.

Przez chwilę Anson nie był w stanie pojąć tego jako czegoś co rzeczywiście się wydarzyło. To po prostu nie było możliwe, aby jego wielki roześmiany ojciec i młody Jamie-dzieciak, mogli być martwi... nie!

Ale...

Uniósł głowę, a potem popatrzył gdzieś w bok. Kiedy z powrotem odwrócił głowę w ich kierunku, jego twarz była twarda i pozbawiona

wyrazu, a jedynie pobielące palce mocno zaciśnięte na rękojeści miecza, mówiły, że nie był jakimś obcym przybyszem.

– W porządku – powiedział powoli, bardzo powoli i miarowo. – W porządku. Opowiedzcie mi wszystko. Co się dzieje? Co się stało w Krakenau?

II

Janazik obszedł ich dookoła, aby stanąć przed nim. Nie był jedynym Khazakim w piwnicy, znajdowało się tu jeszcze kilkunastu innych. W większości byli to młodzi mężczyźni, i Anse rozpoznawał wielu z nich. Bolazan, Pragakech, Slavatozik -- bawił się z nimi jako dziecko, jako młodzieniec i mężczyzna, ruszał u ich boku na wojny, szturmował wysokie mury Zarganau, walczył z wojownikami Volgazan i piratami stowarzyszenia wysp zewnętrznych. To byli dobrzy towarzysze, tak. Ale Ojciec i Jamie zostali zabici. Ellen, Ellen zniknęła. Pozostały tylko resztki ludzkiej społeczności. Świat wokół niego nagle zawalił się i legł w zupełnych gruzach.

No dobrze... wróciła jego dawna ponura determinacja i odpowiedział wyzywającym wzrokiem, na spojrzenie Janazika, jego żółtych oczu, o podłużnych źrenicach.

Tych dwóch mężczyzn było dziwnie odmiennych od siebie, pomimo tego że walczyli ramię w ramię niemal na pół drogi wokół planety, śpiewali, błaznowali, pili na umór, od Krakenau do Gorgazan. Towarzysze broni, może nawet bracia krwi, ale żaden z nich, z punktu widzenia drugiego, nie był człowiekiem.

Dougald Anson był wielki, nawet jak na Ziemianina. Jego płowa głowa sięgała pełnych dwóch metrów, a szerokie ramiona ciasno napinały noszoną przez niego kolczugę. Był młody, ale młodość z jego twarzy wypaliły obce słońca i gwałtowne wiatry wiejące wokół planety. Była ona szczupła i brązowa, a przez czoło znaczyła ją stara blizna. Oczy miał niemal nie do zniesienia ostre i bezpośrednie, w ich niebieskim spojrzeniu. Oczy drapieżnego ptaka.

Khazaki był humanoidem, to pewne. Był niższy od średniego Ziemianina, ale smukły i gibki. Jego żylaste ciało pokrywało miękkie, złote futro, a o nogi uderzał niespokojnie cienki ogon. Głowa była najmniej ludzką częścią ciała Janazika, miał pochylone czoło, wąski podbródek, a twarz zakończona była stępionym pyskiem. Wokół pyska wisały długie bokobrody, a sponad niego spoglądały bursztynowe, kocie oczy, nieustannie się poruszające, czułe na najdrobniejsze zmiany prądów powietrza i temperatury. Wzdłuż szczytu czaszki futro rozrastało się w papuzi pióropusz, opadający mu łukiem na kark. Była to drugorzędna cecha płciowa, której nie miały osobniki żeńskie.

Janazik był trochę dandysem, i nawet teraz miał na sobie workowate spodnie, z czegoś podobnego do jedwabiu, długą czerwoną szarfę, kunsztownie haftowaną bluzę i kaftan krakenauskiego szlachcica. Był fatalnie wybłocony, ale jakoś udawało mu się zachować wrażenie wystudiowanej elegancji. Przez plecy miał przewieszony łuk i kołczan, zaś

u boku wisiały miecz i sztylet. Jednak nawet kiedy nosił przy sobie broń, to w jakiś sposób wyglądała ona czysto dekoracyjnie.

Przy muskularnym i wysokim Anse, wyglądał niemal na karła. Ale stary Chiang Chung-Chen zauważył, nie po raz pierwszy zresztą, że to człowiek nosił strój i broń w stylu Khazaki, oraz że szorstkie głoski Krakenaui przychodziły jego wargom łatwiej niż Ziemski jego ojców. Starszy mężczyzna przytaknął swoim myślom, z powagą i pewnym zrezygnowaniem.

Janazik opowiadał pośpiesznie:

– Volakech musiał już od dawna spiskować i przygotowywać swój powrót z wygnania. Udało mu się zebrać małą armię piratów, najemników oraz wyjętych spod prawa Krakenaui, a ponadto dobił targu z pewnymi grupami w mieście. Dwa dni temu, część gwardzystów przejęło nowe działo i wpuściło do środka Volakecha oraz jego ludzi. Inni wznieśli bunt w samym mieście. Myślę, że król Aligan został zabity, a przynajmniej od tego czasu nie widziałem go, ani nic o nim nie słyszałem. Było nieco walk między buntownikami i lojalistami, ale buntownicy, kiedy zajęli królewski arsenał, zdobyli całą dostępną broń ziemską, i od tego czasu w zasadzie udało im się skruszyć wszelki opór. Lojaliści, którzy zdołali, uciekli z miasta. Reszta siedzi gdzieś w ukryciu. Volakech jest królem.

– Ale... dlaczego my? Ziemianie...? Co my mamy z tym wspólnego?

Żółte oczy Volakecha zapłonęły w jego stronę.

– Przecież nie jesteś głupi, mój bracie krwi. Pomyśl!

Po chwili Anse ponuro skinął głową.

– *Statek Międzygwiazdny...*

– Oczywiście! Volakech przechwycił również łódź raketową. Żaden Ziemianin o zdrowych zmysłach, nie pokazałby mu przecież jak jej używać, tak więc musiał schwytać kogoś, kto rozumie sposób jej działania, i zmusić go, albo ich, do tego aby zabrali go na Statek. Stary Masefield Henry został zabity kiedy opierał się próbie aresztowania -- wiesz przecież, jacy ci gwardziści są żądni krwi, nawet pomimo rozkazów, żeby wziąć kogoś żywcem. Wtedy Volakech rozkazał aresztować wszystkich Ziemian. Paru mu uciekło, paru zostało zabitych podczas prób oporu, większość jednak została schwytana i zabrana siłą. O ile nam wiadomo, ta grupa, to wszyscy, którzy uciekli.

– A więc, Ellen...?

– To jest jakaś dziwna sprawa. Nie wydaje mi się, żeby ona została złapana. Ludzie Volakecha ciągle przetrząsają całe miasto, w poszukiwaniu „kobiety Ziemian”, jak głoszą rozkazy. O kogo mogłoby chodzić, jeśli nie o Ellen? Żadna inna kobieta nie stanowi dla Volakecha jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, ani nie jest dla niego tak pożądaną zdobyczą.

– Ellen zna się na astrogacji – powoli stwierdził Anse. – Uczyła się jej od swojego dziadka.

– Tak. A teraz, kiedy on nie żyje, ona jest jedynym człowiekiem, jedyną istotą na tej planecie, która potrafiłaby polecieć tą raketą na górę, do Statku Międzygwiazdowego. A Masefield Carson o tym wie.

– Carson? Starszy brat Ellen? A co...

Głos Janazika był zimny jak sama zima.

- Masefield Carson był z Volakechem. To on poprowadził buntowników w mieście. Teraz jest porucznikiem nowego króla.
 - Carson! Nie!
 - Carson -- tak! - W uśmiechu Janazika nie było wesołości, ani litości. Jego oczy odszukały Philipa, siedzącego z nieszczęśliwą miną koło lampy.
 - Czy to nie jest prawdą?
-

Chłopiec skinął potwierdzająco głową, za bardzo przytłamszony nieszczęściem jakie na niego spadło, żeby płakać.

- Carse był zawsze przyjacielem Volakecha, jeszcze zanim król Aligan wyjął go spod prawa - wymamrotał. - A kiedy to się stało, zawsze mówił jaki to wstyd, i o tym, że Volakech wiedziałby dużo lepiej co zrobić ze Statkiem Międzygwiazdowym, niż ktokolwiek inny. Potem... ta noc... - Jego głos zamarł, i siedział tylko, wpatrując się pustym wzrokiem w płomień.

- Carson dowodził zbuntowanymi gwardzistami, kiedy zajmowali arsenały miejskie - wyjaśnił za niego Janazik. - Również to on udał się do domu Masefieldów na czele oddziału, i wezwał swoich własnych krewnych do poddania się, obiecując w zamian dobre traktowanie. Joe z matką zrobili to, i jak mi się wydaje, obecnie są więzieni gdzieś w cytadeli. Phila i Ellen w tym czasie akurat nie było w domu. Kiedy Phil dowiedział się o powstaniu, obawiał się poddać, pomimo że heroldowie chodzili po ulicach, obiecując bezpieczeństwo każdemu, kto to robi. Słyszał o tym, jak buntownicy zabijali jego przyjaciół. Poszedł do Slavatozika, który tu siedzi, któremu mógł zaufać, a potem obaj skontaktowali się ze mną. Używałem już kiedyś tej kryjówki i zebrałem tutaj wszystkich zbiegów, jakich udało mi się odnaleźć. - Janazik wzruszył ramionami, był to wężowaty niehumanoidalny gest. - Od tego czasu widywałem Carse z dużej odległości, kiedy jeździł po ulicach, jak jakiś księżę krwi, z oddziałem swoich własnych osobistych gwardzistów. Podejrzewam, że tak naprawdę, to on kieruje teraz wszystkimi sprawami. Volakech chce władzy, ale tylko Carse może mu pokazać, jak ją zdobyć.

- A Ellen... ?

- Nie ma po niej nawet śladu. Ale, tak jak powiedziałem, myślę, że gdzieś się ukryła, bo gwardziści nie chodziliby po mieście, i nie szukaliby kobiety. W każdym razie, chyba się nie poddała.

- Nie Ellen. - Ponura дума uniosła głowę Anse.

- Pozostaje problem odnalezienia jej, zanim oni to zrobią - stwierdził Gonzales Alonzo. - Jeżeli ją złapią i zmuszą ją do wyznaczenia drogi dla rakiety na orbitę, to zdobędą Statek -- co oznacza władzę nad całą planetą.

- Nie to, żeby mnie obchodziło, kto jest królem - warknął Pragakech. - Ale przecież wiesz, że Masefield Carson, nigdy nie miał zamiaru wykorzystać statku, aby dostać się do gwiazd. A ja chciałbym zobaczyć te inne planety, przed śmiercią.

– Do trzynastego piekła z innymi planetami – ostro rzucił Bolazan. – Aligan był moim królem, a moim obowiązkiem jest go pomścić i zwrócić tron jego prawowitemu dziedzicowi.

– Wszyscy mamy jakieś powody do tego, by pragnąć krwi Volakecha i Carsona – powiedział Janazik. – Teraz jednak mniejsza z tym. Najważniejszą rzeczą jest jak utrzymać się przy życiu. Jest nas niewielu, Anse. Tutaj są wszyscy wolni ludzie, o których wiemy, poza Masefield Ellen. Nie mogło zostać więcej niż jeszcze dwie, czy trzy osoby, a jakieś dziesięć osób zginęło. To oznacza, że wróg trzyma jako jeńców niemal setkę ludzi. Odliczając od tego dzieci i innych, którzy nie znają ziemskiej nauki, to nadal oznacza, że oni są w stanie obsługiwać broń, stalownię i elektrownię atomową -- wszystkie nowe maszyny poza łodzią raketową, a do tego potrzebują tylko Ellen.

Anse powoli pokiwał głową.

– Jakie są nasze siły?

– Nie wiem. Niezbyt wielkie. Wiem gdzie ukrywa się mniej więcej setka wojowników Khazaki, gotowych do tego, by pójść za nami, cokolwiek byśmy nie postanowili. Ponadto po domach siedzi teraz wielu innych, którzy powstaną, jeżeli ktoś obejmie przywództwo. Ale wróg ma w ręku całą broń palną. W tej sytuacji, to byłoby samobójstwo.

– A co z Khazaki, którzy uciekli?

Zazwyczaj na planecie, przy tego typu gwałtownych zmianach rządu, uciekinierami byli potężni arystokraci, którzy gdyby pozostali w domu, straciliby życie, w ramach zwykłych środków bezpieczeństwa podjętych przez nową władzę, a na wygnaniu, byli w stanie zgromadzić duże siły wspierające ich powrót. Przykładem tutaj mógł być sam Volakech, który ledwie uciekł z życiem, po katastrofalnie dla siebie zakończonej, próbie przejęcia tronu, kilka lat temu.

– Nie bądź głupszy niż ustawa przewiduje – parsknął Janazik. – Do czasu zanim uda im się wystarczająco zorganizować, żeby był z tego jakiś pożytek, Volakech i Carson, w ten czy w inny sposób, będą już mieli Statek w rękach i cała planeta znajdzie się na ich łasce.

– To oznacza, że musimy obmyślić jakiś kontratak -- i to szybko! – Anse stał przez chwilę mocno zamyślony.

Wróciły do niego wszystkie przyzwyczajenia i nawyki z lat spędzonych na wojaczce i wędrówce. Stawiał już nieraz czoła śmierci i rozpacz, i przy pomocy kombinacji siły, sprytu, blefu oraz czystego szczęścia, udało mu się wydostać z tego z życiem. To był po prostu kolejny problem, jeszcze bardziej rozpaczliwy i pilny, ale jednak tylko kolejny problem.

Nie... było w tym jednak coś więcej.

Twarz mu spochmurniała i wydawało mu się, że jakieś zimno dotknęło jego serca. Carson był starszym bratem Ellen, i nawet jeżeli czasami się z nim sprzeczał, to zawsze czuł się z nim mocno związany. *Carse jest wszystkim tym, czym ja nigdy nie byłem. On został w Krakenau i studiował, stając się człowiekiem wykształconym i świetnym inżynierem,*

podczas gdy ja włóczyłem się po świecie. Jest odważnym i dobrym wojownikiem -- podobnie jak i ja -- ale on jest czymś znacznie więcej. Myślę, że to za jego przykładem Ellen zaczęła uczyć się astrogacji, na której znał się tylko jej dziadek.

Teraz zakończyłem wałęsanie się i włączęgi z Janazikiem, próbuję osiąść na stałe i czegoś się nauczyć, tak abym nie był tylko zwykłym barbarzyńcą, dzikim Khazaki w ludzkiej skórze, kiedy wyruszymy stąd aby dotrzeć do cywilizacji między gwiazdami. Oraz bym nie musiał wstydzić się sam siebie, prosząc Ellen, aby za mnie wyszła. I aż do tej pory, wszystko szło całkiem nieźle.

Teraz jednak... Teraz jednak muszę walczyć z jej bratem...

No cóż... wyrzucił te myśli z głowy. Pomimo wszystko, najwyraźniej ona była również przeciwna planom Carse.

– Zastanawiam się, dlaczego oni próbowali mnie zabić? – spytał na głos, bardziej po to aby wypełnić czymś czas, kiedy myślał, niż z prawdziwej ciekawości.

– Nie mając wykształcenia technicznego, jesteś dla Carsona nieprzydatny – odparł Janazik. – Natomiast twoja wiedza na temat metod walki i twoje powiązania z wojowniczymi środowiskami, czynią cię niebezpiecznym dla niego. Ponadto nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek podobała mu się twoja skłonność do Ellen.

– Nie... on zawsze twierdził, że darmozjadem. Nazywał mnie „wchłonięty przez Khazaki”. Rozwaliłbym mu łeb, gdyby nie był bratem Ellen... To teraz nie jest istotne. Mamy dużo ważniejsze rzeczy do omówienia.

Czy naprawdę mamy? – pomyślał czując, że coś mu rośnie w żołądku. – Carson musi dobrze znać Ellen, lepiej niż ja. Jeżeli on myśli, że może mnie zabić, nie wzbudzając w niej nienawiści przeciwko sobie, to... być może w takim razie, nigdy nie miałem u niej żadnej szansy...

– A ty, skąd się tam wzięłeś? – spytał bezbarwnym głosem.

– Od czasu do czasu wychodzę na zewnątrz, szukając Ellen i zabijając gwardzystów, jeżeli tylko uda mi się dopaść któregoś z nich samotnie. – Białe kły Janazika zabłyśły w drapieżnym uśmiechu. – I oczywiście spodziewałem się, że mniej więcej w tym czasie wrócisz ze swojej wyprawy rybackiej i wypatrywałem cię, czy nie wpadniesz im w łapy.

Anse zaczął krążyć po piwnicy. Chodził w tą i z powrotem, ze zwieszoną nisko głową, aby nie zawadzić o krokiew na suficie. Jeżeli Carson miał na tyle dużo władzy i chciał go zabić... Oczywiście było więcej spraw do przemyślenia, niż tylko to. Przyszłość planety Khazak, a być może nawet całej legendarnej cywilizacji galaktycznej, zawisała cienkim włosku. Jeżeli Volakech, albo któryś z jego potomków zabierze swoją wojowniczą rasę w kosmos, pomiędzy gwiazdy, przy jej wysokim poziomie zapалу do snucia planów podbojów...

To wszystko jednak nie miało żadnego znaczenia. Cały wszechświat nie miał żadnego znaczenia. Liczyła się tylko Ellen, jego własni zabici krewni i on sam.

Serce człowieka może wytrzymać tylko tyle. Janazik stał w ciszy z tyłu, obserwując niespokojną wędrówkę przyjaciela. Widział już kilkukrotnie,

jak tak chodzi i wiedział, że mogą z tego wyniknąć jakieś plany, szaleńcze, lekkomyślne i desperackie, które przy pomocy własnej niehumanitarnej, zimnej inteligencji, będzie musiał uporządkować i uczynić możliwymi do wykonania. On i Anse tworzyli dobry zespół. Tworzyli cholerną najlepszą maszynę do walki, jaką Khazak kiedykolwiek widział.

Wkrótce mężczyzna uniósł głowę. W kryjówce panowała zupełna cisza, gęsta i pełna napięcia, tak że słyszeć było tylko ich własne oddechy i miarowe bębnienie deszczu o pokrywę wjazdu.

– Mam pewien pomysł – powiedział Anse.

III

Długa noc wlokła się niemiłosiernie. Janazik wysłał większość swoich Khazaki na zewnątrz, żeby zaalarmowali innych lojalistów, siedzących w różnych kryjówkach, ponieważ tylko oni mieli szansę przemknąć się niezauważeni przez wrogie patrole. Ludzie, w ewidentny sposób obcy, powolni i niezdarni pomiędzy fruwającymi cieniami Khazaki, nigdy by daleko nie zaszli. Musieli siedzieć i czekać.

Anse cieszył się z możliwości naradzenia się z Janazikiem, planując atak na cytadelę. Żaden z nich nie był specjalnie zaznajomiony z jej układem, ale Alonzo, jako inżynier projektu budowy rakiety, i stary Chiang, byli tam wystarczająco często, by znać ją od podszewki.

Niemożliwe było, aby kilkuset wojowników, uzbrojonych tylko w prymitywną broń z Khazak, mogło zająć tę twierdzę. Jej ściany były obsadzone przez liczniejszą od nich załogę, a w dodatku miała ona do dyspozycji straszliwą broń typu ziemskiego. Alonzo miał blaster z kilkoma ładunkami, ale poza tym, w siłach lojalistycznych nie było niczego tak nowoczesnego.

Pomimo wszystko jednak ten nie rokujący nadziei atak, był konieczny...

– To jest desperackie ryzyko – stwierdziła Dougald Joan. Była jeszcze bardzo młoda, dopiero co wyrosła z wieku dziewczęcego, ale jej głos miał nieustraszone brzmienie.

*Ci Dougaldowie, to prawdziwi wojownicy pomiędzy pięcioma rodami Ziemi*an, pomyślał sobie Janazik.

– Przypuśćmy, że Ellen nie wyjdzie ze swojej kryjówki? – mówiła dalej Joan. – Przypuśćmy, że nie żyje lub... lub została już złapana, wbrew temu, co nam się wydaje.

– Musimy po prostu spróbować, a w takim przypadku zniszczyć raketę – odparł Alonzo. – Jedno jest pewne. Nie wolno nam pozwolić aby Volakech dostał się do Statku. – Ciężko westchnął. – I praca kolejnego pokolenia pójdzie na marne.

– Zbudowanie kolejnej łodzi, nie zajmie nam wcale tak dużo czasu – pocieszyła go żona. – Teraz już wiemy jak, i mamy zaplecze przemysłowe, aby tego dokonać.

– Jest tylko kilka osób, które naprawdę wiedzą jak obsługiwać i budować ziemskie maszyny, a większość z nich jest w tej chwili w rękach wroga – przypomniał im stary Chiang. – Jestem pewien, że nie potrafiłbym powiedzieć ci za wiele o silnikach atomowych, nawet pomimo tego, że kiedyś sam byłem na Statku. Jeżeli tych kilka osób zostanie zabitych, to możemy już nigdy nie być w stanie ponownie zrealizować naszych obecnych osiągnięć. Ci z Ziemian, którzy przetrwają, zatoną w barbarzyństwie, staną się po prostu kolejnym elementem cywilizacji Khazaki.

- Nie wiem... - zaczęła mówić Nora.
 - Ale ja wiem, ponieważ działo się to na moich oczach - upierał się Chiang. - W ciągu pięćdziesięciu lat odkąd zostaliśmy tutaj rzućni, na Khazak urodziły się dwa pokolenia. Dorastały one pomiędzy Khazaki, bawiły się z ich dziećmi, pracowały i walczyły ramię w ramię z Khazaki. Przyjęły one ich ubiór, mowę i ogólny wygląd Krakenau. Jedynie kilku ludzi z trzeciej generacji świadomie próbowało pozostać Ziemianami. Muszę przyznać, że jednym z nich jest Masefield Carson. Kolejnym przykładem jest Ellen. Ale bardzo niewielu z pozostałych.
 - Czy chciałbyś oddzielić nas ścianą od świata na którym żyjemy? - spytał go Anse z poruszeniem i gniewem.
 - Nie. Nie wiem jak można było zaradzić takiej sytuacji. Jesteśmy niewielką mniejszością w obcej cywilizacji, z którą musimy współpracować. To naturalna konsekwencja, że oni bardziej asymilowali nas, niż my asymilowaliśmy ich. Nawet pomimo tego, zainicjowaliśmy tutaj przecież ogromne zmiany.
-

Janazik skinął głową. Rzućni na planetę Ziemianie znaleźli się w typowej dla wczesnej Ery Żelaza, cywilizacji miast-państw, pośród rasy z natury skłonnej do przemocy i drapieżnej. Po to aby przetrwać, musieli zjednoczyć swoje siły z państwem, na terenie którego się znaleźli -- akurat tak się przytrafiło, że było to Krakenau. Zanim mogli rozpocząć budowę zaplecza przemysłowego, jakiego potrzebowali, musieli zapewnić sobie choćby minimum bezpieczeństwa -- co oznaczało, że muszą nauczyć Krakenaui zasad wojskowości i sposobów konstrukcji nowego uzbrojenia, które miało dać im przewagę nad sąsiadami. Poza tym... no cóż, zbudowanie nawet najmniejszego statku, wymaga rozległej wiedzy technologicznej. Do wytwarzania superstopów będących w stanie wytrzymać zapłon paliwa raketowego, potrzeba było wielu nieznanych tutaj pierwiastków, takich jak mangan czy też chrom, które z kolei wymagały stworzenia środków dla ich wydobycia oraz oczyszczania. A do tego dalej, niezbędny był znaczny rozwój chemii... Jak daleko trzeba się cofnąć w tym łańcuszku, aby rozpocząć? A przecież były setki, jeśli nie tysiące, problemów o równie dużym znaczeniu i trudności.

Poza tym Ziemianie sami musieli nauczyć się wielu rzeczy od podstaw. Nikt z nich przecież nigdy wcześniej nie budował statku raketowego, ani nawet nie widział czegoś takiego w działaniu. W galaktycznej cywilizacji, nie stosowano ich już od stuleci. Jednak kwestia konstrukcji napędu grawitacyjnego, była w ogóle poza dyskusją. Tak więc, musieli zbudować statek od podstaw. Co oznaczało lata długotrwałych badań... i jedynie kilku zainteresowanych Khazaki, którzy chcieli je prowadzić. Reszta była za bardzo zajęta swoimi własnymi sprawami, ważnymi z punktu widzenia ich kłótlivej, barbarzyńskiej cywilizacji.

Dziesięć lat temu w kierunku Statku Międzygwieźdznego, została wystrzelona pierwsza łódź kosmiczna -- która wybuchła w trakcie przyśpieszania. Kolejne lata projektowania, kolejne testy, kolejna powolna

budowa -- i obecnie druga łódź stała już gotowa. Być może tej uda się dolecieć do Statku Międzygwieźdznego.

Statek Międzygwieźdny -- szybszy niż światło, pozbawiony wagi, kiedy to było potrzebne, pomimo swojej olbrzymiej masy. Uzbrojony w działa atomowe, mogące zniszczyć miasto, zamieniając je w obłok gorącej pary. Ktoś, kto kontrolował ten statek, mógł dotrzeć do gwiazd Galaktyki, w ciągu zaledwie kilku tygodni. Albo mógłby rządzić wszystkimi Khazaki, jeżeli wolał...

Nic dziwnego, że Carson i Volakech uderzyli właśnie teraz, zanim wystrzelona została łódź rakietowa. Gdyby *oni* mieli ten statek...

Ale obecnie tylko Ellen знаła parametry jego orbity i potrafiła wykonać skomplikowane obliczenia, przy pomocy których można było wykreślić kurs dla łodzi, tak by do niego dotarła. Śmiały wojownik mógłby próbować dolecieć do statku, pilotując łódź na oko, ale tego rodzaju sposób nie rokował zbyt wielkich szans na sukces. Tak więc Ellen i łódź rakietowa, były kluczowymi elementami, od których zależała przyszłość.

– Dziwne – zadumał się Chiang. – Dziwne, że w ogóle mógł nam się przytrafić taki wypadek...

Wszyscy słyszeli już tę historię chyba ze sto razy, ale pomimo tego ścisnęli się wokół niego, aby posłuchać. I tak nie było niczego innego, czym mogliby wypełnić te wlokące się godziny.

– Byliśmy w dziesiątkę, każdy wam to powie, pięciu mężczyzn i pięć kobiet. Ekspedycje badawcze przebywają w kosmosie nieraz przez całe lata bez przerwy, tak więc Służba przyjęła politykę, aby obsadzać statki parami małżeńskimi. Khazaki trudno jest zaakceptować pojęcie absolutnej równości między płciami, jaką osiągnęła cywilizacja ludzka. Równość tę umożliwia oczywiście zaawansowana technologia, a my ją tracimy, staczając się z powrotem w barbarzyństwo...

Anse poczuł jak na jego ramieniu kładzie się mała ręka. Spojrzał do tyłu, w ciemne oczy DuFrere Marie. Była ładną dziewczyną, nieco młodszą od niego, i zanim w końcu naprawdę wpadła mu w oko Ellen, zwracał na nią pewną uwagę.

– Nie obchodzi mnie ta cała równość – wyszeptała mu do ucha. – Kobieta nie powinna usiłować być mężczyzną. Ja chciałabym tylko gotować dla mojego mężczyzny, utrzymywać mu dom, oraz nosić jego dzieci.

To było, jak uświadomił sobie Anse, typowe nastawienie pomiędzy Khazaki. Ale... przypomniał sobie z nagłym porywem litości, że Carson zalecał się do Marie.

– To musi być dla ciebie trudne – wymruczał w odpowiedzi. – Spróbuję przypilnować, żeby Carse przeżył... Oczywiście, jeżeli wygramy – dodał cierpko.

– On? Ten Masefield nic mnie nie obchodzi. Możecie go nawet powiesić. Ale ty, Anse... uważaj na siebie.

Uciekł wzrokiem na bok, ciemność skryła rumieniec na jego twarzy. Uświadomił sobie bowiem nagle, dlaczego Masefield Carson tak bardzo go nienawidził. W tej samej chwili pożałował swojego stałego i nieustającego szczęścia u kobiet. Jednak przypadek, który spowodował, że w drugim i trzecim pokoleniu ludzi na Khazak, była przewaga pań, czynił je raczej nieuniknionym, a on... no cóż, przecież był tylko człowiekiem. Było kilka ziemskich dziewcząt i, wcale nie tak mała liczba kobiet Khazaki, które były zainteresowane wielkim Ziemianinem. *Tak, miałem szczęście* – gorzko pomyślał. – *Miałem szczęście we wszystkim, poza tym co się naprawdę liczyło.*

– ...lecieliśmy przez kilka tygodni z Avandar -- to była wtedy mało znacząca placówka, chociaż wyobrażam sobie, że od tego czasu mogła się poważnie rozrosnąć -- kiedy wykryliśmy tę gwiazdę typu słonecznego. Widząc, że krąży wokół niej planeta podobna do Ziemi, zdecydowaliśmy się bliżej ją zbadać. A ponieważ wszyscy już byliśmy zmęczeni zamknięciem na pokładzie statku, a teleskopy pokazały, że jacykolwiek tubylcy by tutaj zamieszkiwali, muszą być zbyt prymitywni, aby mogli nam zagrozić, wszyscy poleciliśmy więc na dół, w szalupie ratunkowej.

– I wydarzył się pewien wypadek, szansa jedna na miliard... Konwertery atomowe wyrwały się spod kontroli, i ledwie udało nam się uciec z łodzi, zanim uległa ona zupełnemu zniszczeniu. Pozostaliśmy zdani na własne siły, nie mając niczego poza ubraniami na sobie i kilkoma sztukami ręcznej broni. Zaś nasz statek, który latał szybciej niż światło, krążył po orbicie, niecałe dziesięć tysięcy kilometrów nad nami!

Po chwili mówił dalej.

– Żadnej szansy na wyprawę ratunkową. Po prostu w okolicy jest zbyt wiele gwiazd, aby Galaktyczni Koordynatorzy mogli mieć nadzieję na odnalezienie statku, który nie powrócił do bazy. Ekspansja na ten region kosmosu nie była planowana przed upływem kolejnych dwóch stuleci. Mogliśmy więc liczyć wyłącznie na samych siebie, i dopóki nie uda nam się zbudować łodzi, która zabierze nas z powrotem na statek... musieliśmy pozostać tutaj!

Zawiesił na chwilę głos.

– I zabrało nam to pięćdziesiąt lat, jak do tej pory...

Do środka wszedł Pragakech, z kroplami deszczu błyszczącymi na futrze i spływającymi na ziemię, tworzącymi koło jego miękko wyścielanych stóp niewielkie kałuże.

– Jesteśmy gotowi – powiedział. – Skontaktowałem się z każdym wojownikiem, którego kryjówka była mi znana.

– A więc, my również możemy już wyruszać. – Janazik wstał i szeroko się przeciągnął. Jego oczy błyszczały w przyćmionym świetle, jak roztopione złoto.

– Tak szybko? – Marie przytrzymała Anse zaniepokojonymi rękoma. – Już tej nocy?

– Im szybciej, tym lepiej – ponuro odparł Anse. – Każdego dnia, jaki zmarnujemy, mogą zostać znalezieni i zabici, kolejni nasi przyjaciele.

Kolejne miejsca mogą zostać przetrzaśnięte w poszukiwaniu Ellen. Władza Volakecha nad miastem będzie coraz silniejsza.

Ponownie nałożył na głowę szpiczasty hełm i zapiał na pancerzu na biodrach, pas z mieczem.

– Chodźmy, Janazik. Reszta zostaje tutaj i czeka na wieści. Jeżeli poniesiemy całkowitą klęskę, to ci z nas którzy przeżyją, spróbują tutaj wrócić i w jakiś sposób wyprowadzić was z Krakenau.

Marie zaczęła coś mówić, ale po chwili pokręciła tylko głową, jakby słowa raniły ją w gardło, i przyciągnęła twarz Anse do swojej.

– A więc, do zobaczenia – wyszeptała. – Do zobaczenia i niech bogowie będą z tobą.

Pocałował ją, bardziej niezdarnie, niż robił to zazwyczaj, czując się jak ostatni łajdak. Potem wyszedł za Pragakechem i Janazikiem na górę, przez włącz do piwnicy.



IV

Podwórze wypełnione było wojownikami Khazaki, stojącymi w milczeniu na silnym deszczu. Wokół panowała ciemność wczesnego poranka, i zimny mrok rozjaśniały jedynie sporadyczne blade rozbłyski błyskawic, odbijających się na grotach włóczy i ostrzach toporów. Anse czuł napierające na niego gibkie, zwinnie poruszające się ciała, i dobrze widzące w nocnych ciemnościach oczy, obserwujące go niewzruszonymi spojrzeniami. To on i Janazik byli twórcami planu, i to oni mieli największe doświadczenie w walce, tak więc pozostali widzieli w nich przywódców. To nie było łatwe, tak stać pod brzemieniem tych chłodnych, oceniających spojrzeń, tak więc Anse ruszył naprzód, i wyszedł na ulicę, czując ulgę na myśl o perspektywie zbliżającej się akcji.

W miarę jak szli w stronę zamku, wąskimi brukowanymi uliczkami wijącymi się coraz wyżej po zboczu wzgórza, ich armia rozrastała się. Wojownicy wyskakiwali pochyleni z bocznych alejek, wyślizgiwali się z ciemnych, zabarykadowanych domów, wydawali się wyrastać wokół nich z mroku deszczowej nocy. Wyglądało jakby całe Krakenau znalazło się na dworze, ale po cichu, po cichu.

I rzeczywiście, w całym mieście wszystkie siły lojalistów ruszyły do akcji, zbierając się pod przewodnictwem każdego, komu można było zaufać, zmierzając w stronę cytadeli i strzeżonej przez nią rakiety.

Dzisiejszej nocy -- zwycięstwo, albo zniszczenie łodzi i początek walki... albo odparcie ataku i ostateczna, miażdżąca klęska. Tej nocy nawet bogowie są w mieście.

Gdzieś, słabo i z oddali, poprzez ponury lejący deszcz, dobiegł do nich chrapliwy wyzywający sygnał trąbki. Raz, a potem ponownie. Po nim, usłyszeli stłumione przez odległość krzyki i głosy, oraz szcęk mieczy.

– Jeden z naszych oddziałów natknął się na patrol – niepotrzebnie skomentował Janasik. – Teraz w Krakenau rozpęta się prawdziwe piekło. Idziemy dalej!

Zerwali się i ruszyli kłusem pod górę. Obiegając ostry zakręt ulicy, zobaczyli stojącą w ciasnym szyku masę wojowników z uniesionymi w górę włóczniami.

Gwardziści!

Obie strony jednocześnie wydały okrzyk i uderzyły na siebie, w nieuporządkowanym stylu Khazaki. Zaczęło nieco się przejaśniać i Anse widział już wystarczająco dobrze, aby móc walczyć. Hej-ach -- jesteśmy tutaj!

Uderzył na gwardzistę na czele, który dźgnął go swoją długą piką. Ostrze ześlizgnęło się po ciężkim pancerzu kolczym Anse, a Ziemianin w odpowiedzi ciął mieczem do zewnątrz. Odtrącił drzewce na bok i zadał cios do środka, celując w szyję Khazaki. Gwardzista przyjął jego uderzenie na

tarczę, i nagle uderzył nią jak taranem. Morderczy szpic na zdobieniu umba ciężko uderzył w szeroką pierś Ziemianina, i złęczone pierścienie zbroi poddały się pod tym ciosem -- tylko trochę, zaledwie na tyle, by wysączyła się krew. Anse zaryczał i ciął przez prawą rękę przeciwnika. Khazaki zawył z bólu, potknął się i przewrócił do tyłu.

Na Ziemianina już skoczył kolejny, jak wściekły kot. Miecze szczękały i uderzały o siebie. Khazaki odskakiwał i uchylał się, jego klinga śmigala jak skaczący płomień, i żaden z ciosów Anse nie mógł go dosięgnąć.

Khazaki skoczył nagle do przodu, jego ostrze zmierzało prosto w niechronione gardło Ziemianina. Anse sparował uderzenie swoim mieczem, a jednocześnie jego lewa pięść wystrzeliła naprzód, jak żelazna kula armatnia. Z pełną siłą uderzyła tubylca w środek twarzy, czemu towarzyszyło chrupnięcie pękających kości. Głowa gwardzisty z trzaskiem poleciała do tyłu i upadł on na zlaną krwią ulicę.

Janazik walczył z dwoma przeciwnikami na raz, jego miecz nawet na chwilę nie spoczął w miejscu. Skakał i tańczył jak cień płomienia na wietrze i śmiał się -- śmiał! Anse ciął w bok i głowa jednego z wrogów zaskoczyła z karku. Janazik rzucił się w powstałą wyrwę, widać było jedynie rozmyte migotanie stali i przewrócił się następny z gwardzystów.

Topór i miecz! Włócznia, sztylet i śmigające strzały! Bitwa przewalała się do tyłu i do przodu, pomiędzy ciemnymi jeszcze ścianami domów. Z każdą chwilą się rozrastała. Hałas przyciągał patrole Volakecha, przycupnięci w kryjówkach lojaliści, na odgłos ataku, śpieszyli aby do niego się przyłączyć. Anse i Janazik walczyli ramie w ramie, z ludzką siłą i szybkością Khazaki i wszędzie tam gdzie przeszli, ich szlak znaczyły stosy leżących ciał.

Pika zawadziła o rękę Anse. Upuścił swój miecz, i wróg skoczył na niego z wyciągniętym nożem. Anse nawet nie sięgnął po swój sztylet -- żaden człowiek nie miał szansy w walce na noże z Khazakim -- ale jego ręce wystrzeliły węzowym ruchem, a dłonie zacisnęły się na nadgarstkach tubylca, i uniósł wroga do góry i cisnął nim w kolejnego. Obaj upadli z brzękiem gniotących się pancerzy i trzaskiem łamanych kości. Anse wyrzucił swój okrzyk wojenny i podniósł miecz z ulicy.

Janazik skakał, rzucał się, fechtował, uśmiechając się podczas walki, w jego żółtych oczach płonęły demoniczne ognie. Ktoś rzucił w niego włócznią. Złapał ją w locie jedną ręką i odrzucił z powrotem, nie przerywając nawet walki z innym gwardzistą. Buntownik wykorzystał to do tego, by przemknąć się pod obroną Janazika. Z szybkością myśli, w lewej ręce wojownika pojawił się sztylet, i w tej samej chwili tkwił już w gardle buntownika.

Walka przetaczała się w tą i z powrotem, z gwarem, tupotem nóg i deszczem mieszającym się z płynącą pomiędzy kocimi łbami krwią. Szczęk broni, krzyki rannych, okrzyki wyzwania -- tańczące w górze błyskawice!

Nagle wszystko się skończyło.

Anse spoglądał sponad swojej ostatniej ofiary, i zobaczył, że zamieszanie wokół niego już ucichło. Ulica była zasłana stosami zabitych i rannych, i toczyło się jeszcze tylko kilka indywidualnych pojedynków. Ale ocalali gwardziści znajdowali się w pełnym odwrocie, a wojownicy posyłali za nimi okrzyki tryumfu.

– Co to była za walka! – wysapał Janazik. Zadrżał z dzikiej ochoty. – A teraz, na zamek!

– Wydaje mi się – powiedział z zamyśleniem Slavatozik, – że to było decydujące starcie, przynajmniej jeśli chodzi o samo miasto. Popatrzcie tylko, ile ludzi brało w nim udział! Musiały ściągnąć tutaj niemal wszystkie patrole, a teraz są pobite. Miasto jest w naszych rękach!

– Niewiele nam to daje, dopóki Volakech jest w zamku – stwierdził spokojnie Anse. – Musi tylko wyprowadzić z niego ziemskie uzbrojenie... – Oparł się na swoim mieczu, dysząc głośno i wciągając do płuc głębokie hausty zimnego, wilgotnego powietrza. – Ale gdzie jest Ellen?

– Tak jak sugerowałeś, wysłaliśmy wszędzie heroldów, próbujących ją wywołać – powiedział Slavatozik. – Teraz, kiedy miasto jest pod naszą kontrolą, powinna wyjść z ukrycia. Jeżeli nie...

– ...wtedy, ja już będę wiedział, jak wysadzić łódź w powietrze – ponurym tonem przerwał mu Gonzales Alonzo. – Jeżeli uda nam się do niej dostać, do środka cytadeli.

Łojaliści ponownie zebrali swoje siły. Wojownicy przemieszczali się przez pole bitwy, rabując martwych gwardzistów, podcinając gardła rannym wrogom i śmiertelnie ugodzonym przyjaciółom. Wokół wysokiej postaci Anse, zgromadziła się mała armia.

Jego zatroskane oczy, próbowały przebić się przez słabe, szare światło, deszczowego poranka. Nagle zeszytniał, i zaczął dokładniej się przypatrywać. Ktoś nadchodził ulicą, przepychając się przez zebranych wojowników. Ktoś... ktoś... znał te błyszczące, brązowe włosy...

Ellen.

Stał i czekał, pozwalając by do niego podeszła, a jego oczy były dzikie i głodne. Była wysoka, mocna, ale zwinna i pełna gracji, niemal jak Khazaki, a jej szare, szeroko rozstawione oczy spoglądały spokojnie spod wysokiego, wolnego od włosów czoła. Na jej prostym nosie widać było masę piegów. Usta miała szerokie, silnie zarysowane, śmiałe...

– Ellen – powiedział ze zdumieniem. – Ellen.

– Co robisz? – spytała go. – Jaki macie plan?

Żadnych pytań jak się czuje, nawet spojrzenia na krew kapiącą mu z boków i płamiącą jego twarz oraz ręce... no cóż...

– Gdzie byłaś? – odpowiedział pytaniem, i przeklął się za to, że nie potrafił wymyśleć niczego lepszego na powitanie.

– Ukrywałam się u pewnej rodziny z Azakhagar – odparła. – Siedziałam u nich na strychu, kiedy szukały mnie patrole. Potem usłyszałam twoich heroldów krążących po ulicach, wywołujących mnie w twoim imieniu, abym wyszła z ukrycia. A więc jestem.

– A skąd wiedziałaś, że to nie jest jakaś sztuczka Volakecha? – spytał ktoś inny.

– Powiedziałem heroldom, żeby używali mojego imienia, a potem dodawali... cóż... coś o czym wiedzieliśmy tylko ona i ja – ze skrzepowaniem wyjaśnił Anse.

Janazik pozostał niewzruszony, ale przypomniał sobie jak brzmiała ta fraza. „Dougald Anson, który kiedyś coś ci powiedział, pewnego słonecznego dnia nad rzeką Zamanai.” Mógł się tylko domyslać, co to mogło być. No tak, wydaje się, że przytrafiało się to wszystkim Ziemianom, wcześniej czy później, i oznaczało to koniec dawnych swobodnych czasów. Westchnął, z lekkim żalem.

– Ale na co ja jestem wam potrzebna? – spytała go Ellen.

Stała przed Anse w swojej krótkiej, dobrze dopasowanej tunice, z kroplami deszczu błyszczącymi w jej ciężkich, miedzianych włosach, a on pomyślał sobie cierpko, że pytanie to było w pewnym sensie zbyteczne. Z drugiej jednak strony, oraz biorąc pod uwagę tak rozpaczliwe małą ilość czasu...

– Jesteś jedyną spośród nas, która umie wyliczyć kurs dla rakiety – wyjaśnił. – Alonzo, którego tutaj widzisz, jest niemal jedynym, który powinien dać sobie radę z jej pilotażem, ale tylko ty możesz nas zabrać na Statek Międzygwiazdny. To jest oczywiście również powód, dla którego szukają cię Carson i Volakech, i my również do tego cię potrzebujemy. Jeżeli uda nam się wdrzeć do cytadeli, zdobyć raketę i polecieć na Statek, pokonanie Volakecha będzie już prostą sprawą. Ale jeżeli on dostanie się tam jako pierwszy, cała Khazak nie będzie w stanie go pokonać.

Skinęła głową, powoli i ze zmęczeniem. Jej szare oczy wyglądały na udręczone.

– Zastanawiam się, czy to ma jakiekolwiek znaczenie, kto pierwszy się tam dostanie – powiedziała w końcu. – Zastanawiam się, dlaczego walczymy między sobą i zabijamy się nawzajem. Czy o to, kto zasiądzie na tronie tego nędznego miasta-państwa, na kompletnie nieznaczącej planecie? O to, do czyjej dyspozycji będzie ten mały statek kosmiczny? To nie jest tego warte. – Rozejrzała się dookoła, patrząc na porozrzucane ciała, leżące na zakrwawionych kocich łbach bruku, na deszcz wpadający im w otwarte usta, i zadrżała. – To nie jest tego warte.

– Tutaj chodzi o coś więcej, niż tylko o to – ponuro stwierdził Janazik. – Masefield Carson i jego przyjaciel Volakech, jego marionetka, jak sądzę, użyją tego statku do podporządkowania sobie całej tej planety. Przekują ją zgodnie z wzorcem potrzebnym im do podboju i stworzenia niewielkiego imperium, pośród pobliskich gwiazd.

– Volakech zawsze o tym mówił, jeszcze przed swoją pierwszą rewolucją – powiedziała Ellen. – A Carse również zwykł tak mawiać... Ale to nie może być prawda! On musiał mieć coś innego na myśli! A nawet jeżeli tak... to o co chodzi? Czy to jest tego warte, aby bracia zabijali się o to między sobą?

– Tak. – Głos Janazika zabrzmiał bezlitośnie. – Czy wolni ludzie z Khazak mają stać się hordami mięsa armatniego dla tyrana? To już lepiej niech ta cała planeta rozpadnie się na kawałki!

– Czy niewinni ludzie z innych gwiazd mają stać się ich ofiarami – poparł go Alonzo. – Czy Khazak ma stać się zagrożeniem dla całej Galaktyki? Niebezpieczeństwem, które będzie musiała ona zniszczyć doszczętnie -- albo sama zostanie zniszczona? Czy chcesz, aby wybuchła wojna z samą Ziemią?

– Och, do Shantuzik z tym! – warknął Anse. – To są nasi wrogowie, z którymi musimy walczyć i których musimy pokonać. Tam w kosmosie, czeka na nas wielka cywilizacja Galaktyki, a oni chcą nas powstrzymać przed powrotem do niej, jeszcze przez wiele pokoleń, a w końcu zrobić z nich naszych wrogów. A Volakech jest zwykłym mordercom, który nie ma żadnych praw do tronu Krakenau. I ja mówię, wyrwijmy mu wątrobę!

– No cóż... – Ellen popatrzyła w bok. Kiedy odwróciła wzrok z powrotem, w jej oczach widać było cierpienie, ale głos zabrzmiał mocno i stanowczo. – Jestem z wami, niezależnie od tego jakie macie plany. Ale mam jeden warunek. Carse nie może spaść włos z głowy.

– Nie może spaść mu włos z głowy? – wybuchnął Janazik. – Dlaczego, przecież ten obmierzły zdrajca zasługuje...

– On ciągle jest moim bratem – przerwała mu Ellen. – Kiedy Volakech zostanie pobity, nie będzie miał żadnych możliwości, aby kogokolwiek skrzywdzić, i zrozumie w końcu, że się mylił. – Jej oczy rozbłyły zimnym światłem. – Ktokolwiek skrzywdzi Carse, zostanie moim zaprzysięgłym wrogiem!

– Jak sobie chcesz – wzruszył ramionami Anse, próbując ukryć ból przeszywający mu serce. – Teraz jednak... Nasz plan polega na zaatakowaniu cytadeli. Nie mamy nadziei, że uda nam się ją zdobyć, ale pozwoli nam to zająć czymś jej garnizon. W międzyczasie, niewielka grupa spośród nas, wejdzie do środka, zdobędzie raketę, i zabierze ją stamtąd w miejsce, gdzie będziesz mogła wyliczyć orbitę...

– Nie dam rady zrobić tego bardzo szybko. A kto potrafi dostatecznie dobrze ją pilotować, żeby wylądować nią gdzieś i jej nie rozbić?

Spoglądali nawzajem po sobie, a potem wszystkie oczy zwróciły się w stronę Gonzalesa Alonzo. Uśmiechnął się bez cienia wesołości.

– Mogę spróbować – powiedział. – Ale ja jestem tylko inżynierem. Nigdy nawet nie myślałem, że miałbym nią latać. Pilotem miał być Chiang Ching-Wei, ale on jest teraz więźniem.

– Jeżeli rozbijemy raketę... no cóż, to po prostu ją rozbijemy – twardo oznajmił Anse. – To będzie oznaczać długą i ciężką wojnę przeciwko Volakechowi, prowadzoną z zagranicy, a on będzie miał całą przewagę wynikającą z możliwości użycia nowego uzbrojenia. Może nam się nie udać go pokonać, zanim nie zbuduje nowej łodzi. Pomimo wszystko... musimy po prostu spróbować.

Ellen oświadczyła spokojnie:

– Ja mogę ją pilotować.

– Ty?

– Oczywiście. Brałam udział w pracach nad drugą łodzią, od samego początku. Znam ją równie dobrze jak wszyscy pozostali, każdy spaw, nit i schemat połączeń. Byłam na pokładzie łodzi, kiedy Chiang zabrał ją na lot ćwiczebny, zaledwie parę dni temu. Ja nią dla was polecę!

– Nie możesz... musimy wywalczyć sobie drogę do samego zamku, samego serca potęgi Volakecha. Zginęłabyś!

– To jest najlepsza możliwość. Jeżeli sądzisz, że w ogóle mamy możliwość dostania się do środka, to mam takie same szanse na przeżycie, jak ktokolwiek inny.

– Ona ma rację – przyznał Janazik. – A kiedy my tutaj siedzimy, marnując czas na dyskusje, cytadela przygotowuje się na atak. Idziemy!

Automatycznie Anse zerwał się do biegu, truchając koło Janazika, a armia uformowała szeregi i ruszyła za nimi.

Znalazł chwilę czasu, aby przekazać Ellen kilka pośpiesznych słów, wyszeptując je, kiedy zmierzali na wzgórze.

– Trzymaj się blisko mnie. Do środka wdrze się niewielka grupa naszych ludzi, wybrani wojownicy, i wszyscy utworzymy pierścień wokół ciebie.

– Oczywiście – zgodziła się. – Jej szare oczy rozjaśniły się i zaczęła szybciej oddychać. – Zaczynam rozumieć, Anse, dlaczego spędziłeś te wszystkie lata na włóczędztwie. To jest szaleństwo, straszliwe i desperackie... ale na Kosmos, nareszcie żyję!

– Większość rekrutów, odczuwa strach przed swoją pierwszą bitwą – powiedział. – Masz serce wojownika, Ellen...

Przerwał, czując banalność swoich słów.

– Posłuchaj, moja najdroższa – wyznał potem szybko. – Możemy nie wyjść z tego wszystkiego żywymi. Ale pamiętaj to, co ci powiedziałem, wtedy tego dnia nad rzeką. Kocham cię.

Milczała. Zaczął więc mówić dalej, szukając odpowiednich słów:

– Nic mi wtedy nie odpowiedziałaś...

– Myślałam, że to była taka twoja zwykła mowa do kobiet.

– Mogło tak być... wtedy – przyznał. – Ale potem przestało, i teraz również nie jest. Jego zrogowaciała od miecza dłoń, znalazła jej. – Nie zapomnij o tym, Ellen. Ja cię kocham. Zawsze będę cię kochał.

– Anse... – Odwróciła się w jego stronę, i zobaczył jej rozjaśnione oczy.

– Anse...

Przez deszcz usłyszeli ostry głos trąbki, wysoki i ochrypły, gdzieś przed nimi. Dostrzegli rozmyty ogromny kształt zamku, wyłaniający z mglistej jasnej szarości, z wieżami ginącymi w ciężkim niebie. Miecz Janazika rozbłysnął, wyciągnięty z pochwy.

– Bitwa się zaczyna – powiedział jakiś głos z zacierającego wszystko deszczu.

Anse przycisnął Ellen do siebie, opierając o ścianę i pocałował ją. Jej wargi były chłodne, mokre od deszczu i pewnie napotkały jego. Nigdy nie zapomni tego pocałunku, dopóki będzie w nim choćby odrobina życia.

Przez jedną cudowną chwilę, spoglądali na siebie nawzajem, a potem rozdzielili się i ruszyli za Janazikiem.

V

Lojaliści zaatakowali żywą falą, która z rykiem popłynęła ku ścianom zamku i trysnęła pianą krwi i stali. Nadciągnęli z trzech stron, kołysząc się do przodu i do tyłu, w rytmie powitalnych strzał. Unosili tarcze nad głowami i ruszali dalej, zostawiając za sobą poległych.

Osadzone na murach działa energetyczne plunęło ogniem i gromem. Kiedy podobne do piorunów wyładowania zatańczyły między atakującymi, pancerze zaczęły się topić i wojownicy padali pokotem pod tą wirującą, białą furia, ale atak trwał nadal, prowadzony z ponurą zawziętą determinacją i odwagą rasy Khazaki.

Pojawiły się stare maszyny oblężnicze, wyciągnięte z rozmaitych magazynów i kryjówek, gdzie przechowywane były, na taki właśnie dzień, w którym będą mogły się przydać. Wielkie katapulty i balisty, zostały już poskładane. Kamienie, ogniste kule i oszczepy o żelaznych grotach, zagrzechotały o mury. Po stromym zboczu wzgórza, ruszyła niezgrabnie w stronę bram, formacja żółwia. Została rozbita wyładowaniami, zmieniając się w płonące, stopione rumowisko, ale inny żółw dotarł pod mury i spod jego przykrycia rozległ się trzask uderzającego tarana.

W oślepiającym deszczu wyglądający jak cienie wojownicy, przemykali się pod górę, w stronę murów. Żadne miejsce, w którym można było znaleźć ochronę, nie było zbyt małe dla tych widmowych kształtów, wydawały się nosić na sobie osobiste osłony zapewniające niewidzialność. Doszli pod mury -- drabiny pojawiły się jakby znikąd -- i dalej w górę, po murach i do zamku!

Drabiny zostały odepchnięte i poleciały na dół. Wojownicy, którzy dostali się do zamku, rażeni byli ogniem dział, spychani przez przeważającą liczbę przeciwników, padali w wirze walki i śmierci. Na tych na dole, z murów lał się deszcz wrzącej wody, grad włóczy i strzał, oraz ryczące wyładowania dział energetycznych. Ale oni ciągle atakowali. Ciągłe wyjące, wrzeszczące fordry demonów z Krakenau, podchodziły do murów, ginęły i ponownie nadciągały.

Anse zaklął, cicho, ponuro, z bólem w głosie.

– Nie możemy być z nimi. Oni są dziesiątkowani, a my nie możemy być z nimi.

– Bardziej jesteśmy potrzebni tutaj – szorstko stwierdził Janazik. – Żeby tylko Pragakech zdołał utrzymać atak przez godzinę...

On i Anse pochyleni przemykali się na samym czele. Za nimi szli Gonzales, Ellen i kilkunastu wybranych młodych wojowników Khazaki. Przekradali się przez labirynt alejek, ulic i wyludnionych placów targowych, próbując obejść zamek i zająć go od tyłu. Gwar bitwy docierał do nich zduszony przez szarą mgłę deszczu. Poza nim była tylko otulająca wszystko miękkość, pluszczące odgłosy ich własnych nóg, ostro chrapiące

im w płucach oddechy oraz cichutkie skrzypienie i pobrząkiwanie ekwipunku. Wszyscy mieszkańcy Krakenau, poza szturmującymi cytadelę, zamknęli się w skorupach swoich domostw. Przyczaili się obserwując, czekając i ostrząc w ciemności noże.

Przejścia prowadziły ich stromo w dół, dopóki nie obeszlili zamku od tyłu i nie stanęli, wyglądając z tunelowatej alejki. Przed nimi znajdowała się prawdziwa skalna ściana. Od tej strony zamek był niezdobyty. Jedynym podejściem był wycięty w skale szlak, wijący się w górę urwiska, szeroki zaledwie na jednego człowieka. Na szczycie, równo z krawędzią przepaści, zbudowany był mur. Za dawnych czasów, o mur opierało się, panujące nad szlakiem, stanowisko łucznicze, ale ostatnio zainstalowano w tym miejscu działo.

A jednak, pomyślał sobie Anse, to poczucie zupełnego bezpieczeństwa, może okazać się słabym punktem. Poza obsadą tego działu, podejście nie powinno być strzeżone, szczególnie jeżeli w innych miejscach wre walka. Tak więc...

– Daj mi swoją broń, Alonzo – powiedział Janazik.

– Proszę. – Gonzales podał mu pistolet energetyczny. – Ale pozostały w nim już tylko dwa ładunki.

– To może wystarczyć.

Janazik wsunął broń pod płaszcz. Potem założył sobie na rękę złotą metalową osłonę i ruszył do góry szlakiem. Za nim szło paru jego Khazaki, potem Anse, Ellen i Alonzo, a na końcu reszta wojowników.

Szlak był stromy i śliski, spływały po nim strumienie wody, luźne kamienie poruszały się niepewnie pod nogami -- a od jego ostrej krawędzi, do położonego poniżej terenu, było już oszołamiająco wysoko. Wspinali się coraz wyżej, sapiąc, przeklinając i zastanawiając się nad szansami, jakie naprawdę miał ich desperacki plan.

Ellen lekko się poślizgnęła. Anse sięgnął do tyłu i przytrzymał ją za rękę. Uśmiechnął się krzywo.

– Teraz, najchętniej bym cię już nigdy nie puścił – powiedział.

– Tak się zastanawiam... – Ellen uciekła spojrzeniem w bok, a potem ponownie popatrzyła na niego, a jej oczy były szerokie i zamyślane. – Myślę, że ja również bym chciała, żebyś tego nie robił, Anse.

Wydawało mu się, że serce skoczyło mu do gardła, ale puścił ją i powiedział cierpko:

– Niestety, akurat w tej chwili, muszę to zrobić. Ale poczekaj tylko, później.

W górę, i w górę... Później! Czy w ogóle będzie jakieś później?

A nawet jeżeli będzie, to co wtedy? Przecież jestem bardziej niż w połowie Khazaki. Czy będziemy umieli razem żyć, w tej wielkiej cywilizacji, którą z trudem pojmuję?

Ile prościej było wtedy, kiedy Janazik i ja walczyliśmy po całej planecie... Janazik! Zastanawiam się, czy dwie istoty z tej samej rasy, mogłyby w ogóle zawiązać tak bliską przyjaźń, jak nasza, pomiędzy

dwoma obcymi? Walczyliśmy, śmialiśmy się, śpiewaliśmy razem, ratowaliśmy sobie nawzajem życie. Razem trudziliśmy się, cierpieliśmy i baliśmy się. Znamy się tak, jak nigdy nie poznamy żadnej innej istoty.

No cóż, wszystko mija. Przypuszczam, że zawsze pozostaniemy bliskimi przyjaciółmi. Ale dawna wspólnota... Będę musiał z niej zrezygnować.

Ale Ellen...

W górę, i w górę...

Janazik zagwizdał, długo i donośnie, a potem zawołał:

– Niech żyje Volakech! Przyjaciele!

Ze swojego miejsca dostrzegał rozmazany ciemny kształt potężnego działu energetycznego, przyczajony za żelazną osłoną. Wznoszące się nad nim mury zamku, były wysokie, ciemne i... zupełnie puste.

Głos jaki doleciał do niego z przodu, lekko drżał z niepokoju.

– Kto tam idzie?

– Przyjaciel. Mam wiadomość dla Jego Wysokości. – Janazik od niechcenia przesunął się naprzód. Jego oczy radośnie błyszczały. Ta gra w kości ze śmiercią, chwytająca go za serce. Pewnego dnia oszuka sam siebie, i będzie to oznaczało jego koniec, ale do tego czasu, czekała go wspaniała zabawa.

– Podejdź do przodu... Nie, inni zostają. Tylko ty sam.

Janazik ruszył pewnym krokiem naprzód, dopóki nie stanął zaledwie w odległości metra, od ściętego, paskudnego wylotu lufy. Lewą rękę wyciągnął spod płaszcza, tak że jego złota osłona na ręce była wyraźnie widoczna. Jego prawa ręka, schowana pod spodem, spoczywała na uchwycie pistoletu Alonzo.

– Kim jesteś? – obwołał go głos spoza tarczy działu.

– Poślaniec do Jego Wysokości, od jego sojuszników w Volgazan – odparł Janazik. – Spostrzegłem, że walka ciągle się toczy, i razem z moimi ludźmi zdecydowaliśmy, aby dostać się do środka tylnym wejściem.

– No cóż... przypuszczam, że mogę wpuścić cię do środka, pod strażą. Ale twoi ludzie muszą zostać tam, na zewnątrz.

– Bardzo dobrze – Janazik wszedł za tarczę.

Znajdowało się tam trzech wojowników, a za nimi małe drzwiczki w murze. Jeden z ich miał właśnie zagrać na trąbce, aby wezwać oddział gwardzistów do pilnowania przybysza. Pozostała dwójka wycelowwała swoje włócznie w poblizkie gardła Janazika. Żaden z nich nie pomyślał, że ktoś spoza cytadeli mógłby mieć ziemską broń.

Janazik strzelił przez płaszcz. W tej wąskiej przestrzeni, potężne wyładowanie, oślepiło go i poparzyło. Twarz pożądliły mu fruwające cząsteczki roztopionego żelaza. Wstrząs uderzył go jak młotem i wyrzucił w powietrze, tak że uderzył plecami o ścianę. Jego płaszcz zaczął się palić. Zerwał go z siebie i rzucił na ziemię, na leżące przed nim trzy poczerwiałe ciała.

Wzrok wrócił mu do porażonych oczu. Ta ziemiska broń jest obrzydliwa, pomyślał sobie. Powodowała, że odwaga, siła, czy nawet spryt, stają się niczym. Zastanawiał się, jakie zmiany przyniesie starej Khazak, kontakt z cywilizacją Galaktyki, i nie wydawało mu się, żeby większość z nich mu się spodobała. Był może Volakech miał rację.

Ale Anse jest jego towarzyszem, a Aligan był jego królem. Zagwizdał, i pozostali wbiegli do niego na górę.

– Szybko – rzucił Janazik. – Hałas mógł kogoś przyciągnąć... Szybko, do środka!

– Nie możemy odwrócić tego miotacza błyskawic w drugą stronę, i wysadzić ich w powietrze? – zastanawiał się jeden z Khazaki.

– Nie, jest zamocowany na stałe.

Anse naparł swoimi muskularnymi ramionami na masywne drzwi. Te uchyliły się z oporem do tyłu, i popędzili przez tunel w grubej ścianie, prosto na otwarty dziedziniec zamku.

Odgłosy walki rozlegały się w tym miejscu dużo głośniejsze, ale w zasięgu wzroku znajdowało się zaledwie paru wojowników, biegających w tę i z powrotem w swoich sprawach, tak że nawet nie zauważyli przybyszy -- ten fakt wcale nie zaskoczył Anse i Janazika, którzy wiedzieli jakie potężne zamieszanie panuje podczas bitwy. Człowiek przypominał sobie teraz układ zamku -- rakietę powinna znajdować się dalej, za warsztatami maszynowymi, w pobliżu wieży.

– Tędy!

Ruszyli truchtem przez dziedziniec, okrążyli olbrzymie szare kamienne budynki i wieże cytadeli, zmierzając w kierunku długiej, drewnianej szopy, w której mieścił się nowy warsztat maszynowy. Deszcz zaczynał już słabnąć i spoza szarej zasłony mżawki przebijało słońce, tak że jego promienie świeciły przez zwieszone srebrne chmury. Na tle ciemnych ścian, smukła torpeda łodzi rakietowej, zajaśniała jak wypolerowany grot włóczni.

– Teraz... naprzód! – Janazik zerwał się pełnym biegiem w stronę łodzi, a pozostali podążali za nim, otaczając ciasnym pierścieniem Ellen.

Spoza narożnika warsztatu maszynowego, wyszła grupa wojowników, przechodząc koło rakiety. Wilgotne światło jaśniało na ich złotych pancerzach na rękach. Janazik zaklął ze złością, a dłoń opadła mu na rękojeść miecza.

Jeden z wojowników wroga, wydał z siebie okrzyk:

– Ziemianie... trójka! Nie nasi...!

Blaster w ręku Janazika głośno trzasnął i spalone ciała pięciu nieprzyjaciół upadły na ziemię. Z przeszywającym okrzykiem Janazik popędził do przodu, a za nim podążał Anse i kilkunastu najlepszych wojowników z Krakenau. Blaster był już wyładowany, ale przecież mieli swoje miecze!

Przywódcą wrogiej grupy był wielki Khazaki o czarnym futrze i zielonych oczach. Jego ludzie rozpierzchli się w panice, ale on wyrzykał potężnym głosem komendę, i natychmiast zebrali się wokół niego ponownie, stojąc przed rakietą.

Volakech! Na wszystkie trzynaście piekieł, Volakech! Musiał akurat prowadzić posiłki w jakieś zagrożone miejsce na murach – przemknęło Anse przez głowę w ułamku chwili, – i jego ostry umysł natychmiast wydedukował, że napastnicy chcą się dostać do rakiety -- i że nie mają już ładunków do blastera, ponieważ by ich użyli.

A grupa Volakecha ciągle była większa niż ich, a ponadto stały za nim wszystkie siły zgromadzone w cytadeli, jeżeli tylko uda mu się je wezwać!

Dwa oddziały zderzyły się razem, i zaczęła migotać stal. Anse stał przed Ellen i napierał na podstępnie walczącego Khazaki, który próbował dosięgnąć mieczem jego brzucha. Nieprzyjaciel minął zwodem jego obronę i wkręcił się blisko niego. Ellen krzyknęła i kopnęła tubylca w kostkę. Ten potknął się, gubiąc rytm walki i Anse roztrzaskał mu czaszkę.

Volakech zaryczał. Machnął wielkim toporem bojowym i huk uderzenia uniósł się głośno nad falującym polem bitwy. Dwóch ludzi Janazika skoczyło na niego. Volakech machnął swoim toporem, strasliwym łukiem, i szpiczaste zakończenie zmiażdżyło głowę jednego z nich a ostrze rozcięło na pół głowę drugiego. Alonzo skoczył na niego z szaleńczą odwagą, tnąc mieczem. Volakech wytrącił mu go z ręki, ale zanim zdążył zabić inżyniera, wpadł już na niego Anse.

Wymieniali razem uderzenia, z hukiem żelaza. Topór i miecz, zderzały się ze sobą, ześlizgiwały się po kolczugach i dzwoniły po hełmach. Widać było tylko rozmazaną chmurę ciosów i parad, i uśmiech Volakecha spoza mgły wirującej stali.

Anse zebrał wszystkie swoje siły i ruszył do przodu z beztroską brawurą. Jego miecz warczał i świstał w powietrzu, huczał uderzając o twardą obronę Volakecha. Zadawał ciosy szeroko na ramiona, nogi, na policzki. Próbował przebić się i pchnąć króla buntowników w tułów. Volakech warknął ale stopniowo, krok po kroku, był spychany w tył.

Wojownicy padali, jednak zazwyczaj na ciała nieprzyjaciół, i nawet umierając próbowali dźgać do góry w swoich wrogów. Zaciekła, krwawa, absolutnie bezlitosna walka, przewalała się dookoła statku rakietowego. Ta walka, była bitwą starego Khazaku, planety wojowników, i Janazik, nawet pomimo swojego, zatopienia w rytmie ciosów, uników i zabijania, pomyślał sobie ponuro, że właśnie próbuje zakończyć tę krwawą, wielką epokę. Niesie ze sobą cywilizację, a razem z nią, zagładę dla takich ludzi jak on. Khazak przyszłości, nie będzie już taką samą planetą.

Jeżeli zwyciężą... jeżeli zwyciężą!

– Do mnie! – wykrzyknął. – Do mnie, ludzie Aligana! Niech żyje Aligan! Krakenau! Dougald!

Usłyszeli go i zebrali się wokół niego, zasapane resztki jego oddziału. Ale ludzi Volakecha pozostało bardzo niewiele, zaledwie paru.

– Volakech! Na pomoc królowi! Do mnie, ludzie Volakecha! – Buntownik krzyczał ostatkiem sił. A Anse znowu zadał mu pchnięcie, które uderzyło w szybką paradę topora.

– Anse! – Ponaglający okrzyk Janazika przebił się przez zgiełk bitewny.
– Anse, tutaj! Zaraz startujemy!

Człowiek niemal go nie słyszał. Naparł mocniej na Volakecha, jego miecz przecinał ze świstem powietrze wokół głowy uzurpatora.

– Anse! – zawołał Janazik. – Anse... Ellen cię potrzebuje...

Z tygrysim warkotem, Anse oderwał się od swojego przeciwnika i zawirował w obrocie. Stał przed nim jeden z buntowników. Chwila walki była zbyt szybka, by można ją opisać. Anse przeskoczył rozrąbane ciało i pobiegł na górę, do Janazika.

Khazaki stał we włączu do śluzy powietrznej. Przed nim leżał wianuszek trupów, a jego miecz ociekał krwią.

– Ellen! – wysapał Anse. – Ellen?

– W środku – ostro rzucił Janazik. – Ona jest w środku. Musimy się stąd wynosić... to był jedyny sposób na zwrócenie twojej uwagi... *Idziemy stąd!*

Anse zobaczył grupę uzbrojonych nieprzyjaciół, która wyroliła się z jednej z zewnętrznych wież i ruszyła na nich. Obrońcy, którzy w końcu zauważyli bitwę koło rakiety i biegli na pomoc swojemu królowi. Nie mieli żadnych szans przeciwko nim... poza ucieczką łodzią!

Człowiek i Khazaki schowali się w głębi śluzy powietrznej. Zerwał się prawdziwy sztorm strzał i oszczepów. Anse widział jak dwóch z jego ludzi upada, potem Janazik zatrzasnął ciężki zewnętrzny właz i zamknął go na głucho.

– Ellen – wysapał. – Ellen... zabierz tę łódź do góry, zanim oni wysadzą ją w powietrze!

Dziewczyna przytaknęła. Przypinała się właśnie do fotela pilota, stojącego przed błyszczącym pulpitem ze sterami. Razem z nią był tylko Alonzo, zakrwawiony, ale ciągle na nogach. Przeżyło ich czworo -- tylko czworo -- ale zdobyli łódź!

Przez port widokowy, Anse zobaczył nieprzyjaciół, napływających zewsząd do łodzi. Mogli użyć do jej rozbicia balist, wysadzić ich w powietrze dynamitem, albo usmażyć żywcem w metalowej skorupie kadłuba przy pomocy działa energetycznego -- chyba że oni jako pierwsi uciekną w niebo.

– Alonzo, zajmij się silnikami – powiedziała Ellen.

Alonzo Gonzales potwierdził skinieniem głową.

– Pomożesz mi, Janazik – poprosił. – Nie jestem pewny, czy... nie stracę przytomności...

Kabina pilota położona była na dziobie. Za nią, oddzielone grodzią, znajdowały się urządzenia wytwarzające powietrze i inne mechanizmy systemu podtrzymywania życia na pokładzie. Nie zajmowały one dużo miejsca, ponieważ łódź nie była przeznaczona do długiego przebywania w kosmosie. Na śródkręciu znajdowały się żyroskopy stabilizujące, a jeszcze dalej, za kolejną grodzią, przedziały maszynowni. Raczej zamiast tworzyć wyrafinowane automatyczne systemy kontrolowania pracy

silników, budowniczkowie polegali na sterowaniu ręcznym, wykonywanym na podstawie sygnałów świetlnych, zapalanych przez pilota. Było to może mniej efektywne, ale skracało prace nad konstrukcją statku, i stanowiło wystarczająco dobre rozwiązanie, aby mieć nadzieję, że będzie działało.

– Ja nic o tym nie wiem – wyraził swoje wątpliwości Janazik.

– Powiem ci, co robić... Pomóż mi... – Opierając się na ramieniu Khazaki, Alonzo pokuśtykał w stronę rufy.

Anse przypiął swoje wielkie ciało do fotela obok Ellen.

– Obawiam się, że nie za bardzo mogę ci pomóc – powiedział.

– Nie... poza tym, że tutaj będziesz – uśmiechnęła się.

Wyglądając na zewnątrz, widział, że grupa atakująca zamek została wybita niemal do nogi. Wykonali niezbędną dywersję... za jaką cenę, za jaką cenę?

– Moglibyśmy równie dobrze od razu wystartować na Statek Międzygwiazdny – stwierdził.

– Oczywiście. A to skończy wojnę. Volakech może albo się poddać, albo siedzieć sobie w zamku, dopóki nie zgnije.

– Albo możemy wykorzystać statek do zniszczenia cytadeli.

– Nie... o Kosmosie, nie! – Jej oczy wypełniło nagłe przerażenie.

– Dlaczego nie? – spierał się z nią gniewnie. – To jedyny sposób na uratowanie naszych ludzi, jeżeli nie będzie chciał ich wypuścić z własnej woli.

– Moglibyśmy zabić Carse – wyszeptała.

Już miał na końcu języka, aby strzelić, że pozbycie się go byłoby dobrym wyjściem, ale zdusił te słowa w gardle.

– Dlaczego tak się o niego troszczysz?

– On jest moim bratem – odpowiedziała po prostu, a on uświadomił sobie, że pomimo wszystkich swoich pretensji do cywilizacji, była w dostatecznym stopniu Khazaki, aby czuć prymitywną, irracjonalną klanową lojalność, tej planety. Dodała, powoli: – A kiedy umarł ojciec, kilka lat temu, Carse zajął jego miejsce, stając się dla mnie zarówno ojcem, jak i starszym bratem. On może czasami mieć złe pomysły, ale zawsze był taki... dobry...

Dziecięce uwielbienie dla utalentowanego, przystojnego, wesołego starszego brata, z którego nigdy tak do końca nie wyrosła. No cóż... to już nie miało znaczenia. Kiedy będą mieli Statek, Carse przestanie się liczyć.

– Będzie tak bezpieczny, jak tylko można być w tych czasach – zapewnił ją Anse. – Ja... Osobiście będę go bronił, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Jej dłoń wślizgnęła się w jego, i pocałowała go, tutaj w małej łodzi, która kołysała się i huczała pod wściekłym atakiem z zewnątrz.

– Każdy kto skrzywdzi Carse, będzie moim zaprzysięgłym wrogiem – westchnęła. – Ale każdy, kto mu pomaga, pomaga również mnie i... i...

Anse uśmiechnął się, sennie. Silniki zaczęły szumieć, rozgrzewając się, a ludzie Volakecha rozbiegli się w konsternacji. Widzieli już ogień buchający z dyszy rakiet.

A w maszynowni, Masefield Carson trzymał swój blaster wycelowany w Alonzo i Janazika.

– No, dalej – uśmiechnął się. – No, dalej -- bierzemy ten statek na górę.

VI

Khazaki zaklął ze wściekłością. Wydawało się, że jego miecz niemal sam wyskoczył na pół długości z pochwy. Carse pokiwał ostrzegawczo blasterem, i Janazik z trzaskiem wepchnął broń z powrotem. Była bezużyteczna, w sytuacji gdy biały płomień mógł go zniszczyć, zanim zdołałby się ruszyć.

– Skąd się tu wzięłeś? – warknął Khazaki.

Wysoki, brązowowłosy człowiek znowu się uśmiechnął.

– Nie brałem udziału w walce – wyjaśnił. – Volakech chciał ochronić wiedzę jaką posiadam i kazał mi trzymać się z dala od bitwy. Zresztą naprawdę, nie byłem tam zresztą potrzebny. Tak mi przyszło do głowy, że ten wasz atak ewidentnie byłby pustym gestem, chyba że macie nadzieję, w jakiś sposób zdobyć łódź. Tak więc ukryłem się w środku, żeby jej pilnować... tak na wszelki wypadek. A teraz... polecimy sobie nią na górę. Równie dobrze możemy zrobić to razem. Kiedy będę już miał Statek... – Machnął ręką w stronę Alonzo. – Uruchom silniki. I żadnych sztuczek. Znam się na tym wszystkim, równie dobrze jak ty.

Gonzales przypiął się na stanowisku i podczas manipulacji urządzeniami sterującymi, stał z trudem, kołysząc się na nogach, osłabiony z powodu odniesionych ran.

– Nie mogę dosięgnąć tego koła... – wysapał.

– Obróć je, Janazik – polecił Carse. Mniej więcej o jedną czwartą... tyle wystarczy.

Niewzruszone wskaźniki mierników kołysały się i rozmazywały, przed szklącymi się oczyma Alonzo. Był dosyć poważnie ranny. Ale silniki zaczęły się rozgrzewać.

– Przypnij się, Janazik – polecił Carse.

Khazaki niechętnie posłuchał. Tak naprawdę nie potrzebował uprząży antyakcelacyjnej -- sam Carse po prostu trzymał się mocno jedną ręką uchwytu -- ale miała ona ograniczyć jego ruchy, tak by nie mógł wykonać jakiegoś nagłego ataku. Przy tym, on i Alonzo byli w stanie bez trudu poradzić sobie z obsługą silników, wykonując rozkazy wydawane przez Carse. Potem, kiedy już znajdą się na Statku, będzie mógł zastrzelić ich z blastera i pójść, schwycić Anse i Ellen. Stare książki mówiły, że w razie konieczności jeden człowiek jest w stanie poradzić sobie ze statkiem.

Jak ostrzec dwójkę towarzyszy w kabinie pilota? Skąd zdobyć pomoc? Mózg wojownika zaczął pracować na pełnych obrotach, teraz już chłodny i spokojny, szubki jak zimna błyskawica.

Łódź wyrzuciła z siebie strugę płomieni, stanęła na ogonie i zaczęła wspinać się w niebo. Przyśpieszenie pociągnęło Carse, ale nie było na tyle duże, aby mocny mężczyzna nie mógł mu się oprzeć. Tylko mocniej

przytrzymał się uchwytu. Jego blaster przez cały czas pewnie skierowany był w ich stronę.

Na pulpity sterujących, ciągle pobłyskiwały nowe światła sygnałów od Ellen. Mocniej silnik nr 3, słabiej lewa strona, cała naprzód, wyłączyć nr 2... Większość z nich obsługiwał Alonzo, od czasu z trudem wypowiadając słowa, przekazywał polecenia Janazikowi. Ryk silników raketowych wypełniał pomieszczenia maszynowni.

A na dziobie, Dougald Anson zobaczył jak planeta zatacza się, i z wolna zostaje z tyłu, zobaczył jak deszczowe niebo rozstępuje się, i nagle pojawia się wspaniałe słońce, które powoli zaczęło ciemnieć, ustępując miejsca budzącej respekt panoramie gwiazd. Bogowie, bogowie, czy to był kosmos? Otwarty kosmos? Nic dziwnego, że starsi ludzie tęsknią za opuszczeniem tej planety!

Skąd zdobyć pomoc, jak ostrzec Anse... Umysł Janazika pracował jak nieobciążony silnik, wypluwając z siebie jeden za drugim, bezużyteczne plany. Szybko, na wszystkie piekła Shantuzik!

Nie ma żadnego wyjścia z tej sytuacji, a minuty ulatywały bezlitośnie. Rakietę znalazła się już niemal w kosmosie i wiedział, że zbliżają się do Statku. On zaś siedział w tej uprzęży jak owca i wykonywał wymuszane bronią rozkazy Carse.

Co za hańba! Warknął z gniewu i kiedy Alonzo wydyszał z siebie kolejne polecenia, obrócił kołem z niepotrzebną gwałtownością. Statek zatoczył się, gdy silnik raketowy zadziałał z nadmierną mocą. Carse niemal się przewrócił, i w mgnieniu oka ręce Janazika znalazły się na zapęciach uprzęży antyakcelacyjnej, gotowe do zrzucenia jej i skoku na nieprzyjaciela.

Człowiek jednak odzyskał równowagę i jego blaster ponownie znalazł się na miejscu. Krzyknął tak, aby było go słychać pomimo grzmotu silników:

– Nawet tego nie próbuj! Mówię do obydwu z was! Jeżeli będę musiał, to was zastrzelę i dam sobie radę sam!

Potem roześmiał się, wysoka wspaniała postać, walcząca z brutalnymi szponami przyśpieszenia. Brat Ellen -- tak! Każdy teraz by już chyba zrozumiał, dlaczego ona chciała go ocalić. Wargi Janazika uniosły się, odsłaniając zęby, a z gardła wyrwał mu się warkot nienawiści.

Rakietę niemal już osiągnęła prędkość orbitalną. Wkrótce Ellen powinna przesłać sygnał nakazujący wyłączenie silników, i znajdą się w stanie nieważkości, lecąc swobodnie przez kosmos, a ona zajmie się sporządzeniem pomiarów i wyznaczeniem orbity, która doprowadzi ich do Statku Międzygwiazdowego. A kiedy potem pojawi się tam ze swoim blasterem Carson...

Anse miał tylko miecz.

Ale... Anse to Anse – rozmyślał Janazik. – Jeżeli jest, choćby najmniejszy cień szansy, Anse go dostrzeże. A jeżeli nie ma, to nie będziemy tak naprawdę w gorszej sytuacji, niż jesteśmy obecnie. Muszę jakoś ostrzec Anse, i resztę pozostawić już jemu.

Khazaki ponuro pokiwał głową sam do siebie. To będzie prawdopodobnie oznaczało jego śmierć pod płomieniem blastera Carse – a on... do diabła, jak on cholernie lubił życie. Nawet jeżeli dawna Khazak jest już skazana na śmierć, na granicy Galaktyki, było jeszcze mnóstwo innych planet. On i Anse często marzyli o wędrowce między nimi...

Jednakże...

Na pulpicie zamrugął czerwony sygnał od Ellen, proszący o wyłączenie silników. Osiągnęli prędkość orbitalną.

Ze zmęczeniem, trzęsącą się dłonią, Alonzo przerzucił główny przełącznik. Nagła cisza była jak huk gromu.

I Janazik z całej siły swoich płuc wyrzasnął znane wezwanie Krakenaui, ostrzegające przed niebezpieczeństwem.

Carse odwrócił się do niego, z przekleństwem na ustach, niezgrabnie poruszając się w warunkach braku grawitacji.

– I tak nic wam to nie da – zawołał ochryple. – Jego również zabiję...

Alonzo ponownie pstryknął głównym przełącznikiem! Z urywanym rykiem rakiety znowu obudziły się do życia, plując ogniem. Nie trzymając się uchwytu Carse, potoczył się po podłodze.

Janazik złapał za swoją uprząż, usiłując się z niej uwolnić. Carse skierował lufę swojego blastera, w stronę Alonzo. Inżynier przerzucił inny przełącznik, w losowy sposób, i kierunek siły przyśpieszenia zmienił się gwałtownie i niespodziewanie, rzucając Carse na przeciwległą ścianę.

Jego blaster wypalił szaleńczo, i Alonzo nie miał nawet czasu, aby krzyknąć, zanim dosięgnął go płomień.

Znajdujący się w sterówce Anse usłyszał głośny, wyjący wrzask Janazika. Nawyki lat wędrowek natychmiast wróciły do niego, błyskawicznie doprowadzając go do stanu pełnej gotowości. Jego miecz wydawał się niemal samoistnie wskoczyć mu do ręki. Uwolnił się od uprzęży fotela...

– Anse! – Głos Ellen docierał do jego uszu jakby z oddali, tak że ledwie go zauważał. – Anse... co to jest...

Unosił się nieważki w powietrzu, przeklinając i próbując pływać. A potem rakiety ponownie się obudziły i rzuciły nim o podłogę. Wykręcił się w locie, ze zwinnością Khazaki, wylądował na nogach, przykucając, i popędził w kierunku rufy.

Ellen spoglądała za nim, ciężko oddychając, przez moment ciągle jeszcze nieświadoma katastrofy, zastanawiając się, jak mało ciągle wie o tym żółtogrzywym dzikusie, i w jaki sposób mogłaby się tego dowiedzieć, i...

Rakieta rzuciła się w bok, szaleńczo. Anse przytrzymał się czegoś, upadając, złapał równowagę dostosowując się do nowego kierunku

grawitacji, i kontynuował swój szaleńczy bieg. Gdzieś z przodu, dobiegł do niego trzask blastera.

Wpadł do maszynowni i jednym błyskawicznym spojrzeniem, ogarnął całą sytuację. Spalone ciało Alonzo, wiszące w uprzęży, Janazik, który na wpół wydostał się ze swojej i Carse, zbierający się na nogi... z blasterem skierowanym na Janazika... Janazika... Palec zaciskający się na...

Anse skoczył jak tygrys. Carse dostrzegł go kątem oka, odwrócił się, na wpół uniósł blaster... i mordercza maszyna do zabijania, która nazywała się Dougald Anson, już go dosięgła. Carse zobaczył miecz zmierzający ku swojej twarzy. To była ostatnia rzecz, jaką zobaczył w życiu...

Anse odchylił się do tyłu, opierając się o pulpit ze sterami.

– Wyłącz to! – zawołał Janazik. – Przerzuć ten wielki przełącznik, tam!

Mechanicznie człowiek wykonał jego polecenie i ponownie zapanowała cisza, głucha, dzwoniąca w uszach cisza, w której swobodnie unosili się w powietrzu. Poczuł się, jakby spadał gdzieś bez końca.

Spadał i spadał... Anse spoglądał tępo w dół, na swój zakrwawiony miecz. Spadał, spadał, spadał... ale to nie mogła być prawda, pomyślał apatycznie. Przecież spadł już na dno. Zabił brata Ellen.

– A ja ją ciągle kocham – wyszeptał.

Janazik unosił się w górze, powoli, w cichym pomieszczeniu. Jego oczy lśniły głębokim złotem, obecnie czujne i szukające.

Jeżeli Ellen nie będzie go chciała, to on i ja będziemy mogli wyruszyć razem w kosmos, do gwiazd, na nowe wielkie pogranicze. Ale jeżeli tak, to będę musiał wyruszyć sam, już zawsze będę samotny...

Chyba że ona także by z nami wyruszyła. Dobry z niej dzieciak... Chciałbym, żeby była razem z nami. Być może ja również wezmę ze sobą kobietę z mojego gatunku... Ale teraz, to chyba niemożliwe. Nie będzie chciała mieć nic wspólnego z zabójcą swojego brata.

– Może nie musiałeś go zabijać? – powiedział Janazik. – Może trzeba było go tylko rozbroić?

– Nie, wtedy dostałby któregoś z nas... prawdopodobnie ciebie – bezbarwnym tonem odparł Anse. – W każdym razie, zasłużył na śmierć. Zastrzelił Alonzo.

Dodał jeszcze, po chwili.

– Człowiek musi umieć stanąć u boku swoich przyjaciół.

Janazik pokiwał głową, bardzo powoli.

– Daj mi swój miecz – powiedział.

– Co? – Anse popatrzył na niego. Jego błękitne oczy zdawały się nie widzieć niczego, zaślepione bólem, ale podał przyjacielowi czerwoną od krwi broń. Janazik wsunął w palce człowieka swój własny miecz.

Położył rękę na ramieniu Anse, uśmiechnął się do niego, a potem zapatrzył się w dal.

My, Khazaki, nie wiemy co to miłość. Ale znamy uczucie braterstwa, głębszego niż poznał to jakikolwiek Ziemianin. Kiedy pojawi się ono pomiędzy mężczyzną i kobietą, zostają partnerami. Kiedy pojawi się

pomiędzy mężczyznami, zostają oni braćmi krwi. A człowiek musi umieć stanąć u boku swoich przyjaciół.

Nadeszła Ellen, przeciągając się wzdłuż ścian, z wykorzystaniem uchwytów na ręce. Anse spojrzał na nią, nie mówiąc ani słowa, tylko patrząc.

– Co się stało? – powiedziała. – Co tu... Och!

Ciało Carse płynęło w powietrzu, obracając się to w tą, to w tamtą stronę, popychane prądami powietrza, podobnie jak ciało człowieka, który utonął w morzu.

– Carse... Carse...

Ellen odepchnęła się od ściany, podpływając do martwego mężczyzny. Popatrzyła na jego nieruchomą twarz, pogładziła po zabrudzonych krwią włosach, i uśmiechnęła się przez mgłę łez.

– Byłeś zawsze dla mnie dobry, Carse – wyszeptała. – Byłeś... dobranoc, braciszku. Dobranoc.

Potem, odwracając się do Anse i Janazika, powiedziała, z jakąś zimną i przerażającą nutą w głosie.

– Kto go zabił?

Anse popatrzył na nią, tępym wzrokiem.

– Ja to zrobiłem – odparł Janazik.

Wyciągnął do przodu rękę z zakrwawionym mieczem.

– Poleciał z nami jako pasażer na gapę. Miał zamiar przejąć kontrolę nad statkiem. Alonzo wytrącił go z równowagi, ponownie włączając rakietę. Wtedy on zabił Alonzo. A potem ja zabiłem jego. Zasłużył na to. Był zdrajcą i mordercą, Ellen.

– On był moim bratem – wyszeptała.

I nagle łkając, znalazła się w ramionach Anse, zanosząc się głębokim, udręczonym szlochem, który wydawało się, że rozedrze jej ciało na części.

Ale, wyjdzie z tego.

Anse popatrzył na Janazika, ponad jej ramieniem, i kiedy gładził jej lśniące włosy, jego oczy spotkały się z oczyma Khazaki.

To koniec. Kiedy wylądujemy, nigdy już się nie spotkamy, nigdy, do końca życia. A w dawnych czasach, byliśmy braćmi...

Żegnaj, mój bracie.

Kiedy Statek Międzygwiazdny wylądował koło murów, poddanej przez buntowników, cytadeli Krakenau, ciągle jeszcze lekko padało. Janazik popatrzył na szary, mokry świat, i wzdrygnął się. Potem, bez słowa, wyszedł ze śluzy i zaczął schodzić ze wzgórza, zmierzając w stronę morza. Nie oglądał się za siebie, a Anse nie wyglądał za nim.

KONIEC